ŻYCIE
KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

CENA 1sh

ROK VI. NR 4 (240)

LONDYN, 27 STYCZNIA 1952 R.

MARIA WINOWSKA

TAJEMNICA KOŚCIOŁA (I)

Średniowieczny język ujmował człowieka w dwa określenia: *animal sociale* (istota społeczna) i *individuum ineffabile* (jednostka niewysłowiona). Określenia na pozór sprzeczne. Pierwsze wyraża ów pęd *odśrodkowy*, który człowieka otwiera na świat i na braci wszystkimi oknami zmysłów, orkiestrą słowa, bruzdą czynu, który dąży do zespolenia ze światem i z braćmi. Drugi tłumaczy kierunek odwrotny, *dośrodkowy*, wiodący człowieka w głąb własnej, samotnej, niewysłowionej tajemnicy.

W jednym i drugim zawiera się prawda człowieka, dostępna prostej samowiedzy. Patrząc w siebie wiem, że jestem kimś niepowtarzalnym i jedynym — i to, że jestem cząstką. Wystarczam sobie i zarazem *nie* wystarczam. Jest jakaś siła, która ciągnie mnie w głąb, na wielki raid odkrywczy mojego wewnętrznego świata i jest jakaś siła, która wyrywa mnie poza moją świadomą orbitę, która by chciała mnie przedłużyć o wszystko co myśli, oddycha, żyje, o cały świat.

Której z nich mam zawierzyć się bez reszty, którą przyjąć? Odpowiedź we mnie pada jak paradoks: Zawierzyć masz się obu, przyjąć obie, gdyż *obie* cię stanowią. Tedy rozum mój wszczyna głośny lament: Jakże trwać w tym rozdarciu? Jak zdobyć równowagę? Przeciwne sobie moce rozpięły mnie jak na krzyżu na drewnie życia i nie dają mi chwili wytchnienia. Każą mi być równocześnie — wewnątrz i na zewnątrz siebie. Jakże mam być sobą, jeśli mam być wszystkim? Jakże mam być wszystkim, jeśli mam być sobą? Zaiste nad moje to siły! Nie stać mnie na dźwiganie tajemnicy człowieczej... Wiem, co zrobię. Zamiast żyć w tej męce — wybiorę.

Zamiast dać się rozczepiać w dwu przeciwnych kierunkach, pójdę tylko w jednym. Będę sobą kosztem braterstwa uniwersalnego, zespolę się z braćmi, utożsamię z nimi kosztem własnej identyczności. I cóż, że się zubożę o siebie lub o wszystko, co nie jest mną? Ja sam przeciwieństw w sobie nie pojednam.

Cały dzisiejszy świat jest ilustracją tego prawowania się człowieczego z własną tajemnicą. Oscylujemy wahadłowym ruchem, od skrajnego indywidualizmu, tej negacji „*animal sociale*", do kolektywizmu, tej negacji „*individuum ineffabile*". I tu, i tam człowiek przekreśla pewną formę swego istnienia, okalecza siebie. Bądź jak narcyz zapatrzony w siebie odcina się od zewnętrznego świata, to znów nagłym przerzutem pogrąża się w ten świat i zdradza własną duszę. Zamknięty w wieży z kości słoniowej subiektywizm XIX w. musiał doprowadzić do kolektywizmu, w różnych jego przejawach, tak jak obecnie dążenia do obrony i rehabilitacji jednostki, o ile będą podejmowane w planie *czysto ludzkim*, muszą doprowadzić do przerostu indywidualizmu.

Historia, ten mądry pedagog, ukazuje nam na każdym kroku tragiczne konsekwencje połowicznych prądów i doktryn. Najwspanialsze ruchy ideowe, zrodzone pod znakiem zakłamania takiej czy innej prawdy człowieczej nie wytrzymują próby czasu i kruszą się w końcu jak kolos gliniany. Czy to komunizm, czy pogański egzystencjonalizm, czy tyle innych współczesnych „izmów" — wszystkie te kikuty ideowe noszą w sobie zaród śmierci, gdyż budują na *zdradzie człowieka*.

Doświadczenie empiryczne potwierdza teologia, która uczy, że scalić człowieka może tylko Bóg, który człowiekiem się stał: *Chrystus*. Rozpięty na krzyżu własnych przeciwieństw człowiek znajduje moc dźwigania siebie, znoszenia siebie, jednania siebie w Chrystusowym krzyżu. Nie tylko na planie nadprzyrodzonym jest On naszym zbawieniem: także nasza doczesność w Nim jedynym znajduje klucz. *Być w pełni sobą możemy tylko w Nim.*

*

Sobą jako „individuum ineffabile". Każdy z nas ma głęboką świadomość swojej jedynej, niepowtarzalnej tajemnicy. Sprawdzamy naszą odrębność jako coś samotnego i bezcennego zarazem, coś, czego słowa nie wyrażą, dzieło nie przetłumaczy. Jakiż artysta nie sprawdza boleśnie dystansu, dzielącego jego wizję wewnętrzną od ubogiego bełkotu realizacji? Nie wiemy, jak bez reszty wypowiedzieć siebie „nie znajdujemy wyrazu". Nachylamy się nad własną duszą jak człowiek chcący złowić źródło. I cóż z tego, że wydobędziemy garść wody? Źródło płynie, nieuchwytne.

Jeden Bóg wypowiedział się w Słowie i to Słowo stało się Ciałem, by z kolei powiedzieć nas nam samym. Chrystus „woła nas po imieniu" — On jeden zna nasze imię, to „imię" nowe, o którym mówi Apokalipsa. Tylko w jedności z Nim wypełnia się nasza osobowość. Wspaniałym przykładem tej prawdy jest idący przez historię korowód świętych, ludzi całkowitych. Niefortunna hagiografia często fałszuje ich rzeczywistość, wtłacza ich w prokrustowe łoże zdawkowej pobożności, o d c z ł o w i e c z a. Ale nie dajmy się zwieść. Dokumenty z pierwszej ręki, autobiografie ukazują nam ich jako przedziwnie zwarte indywidualności, wypełniające co do joty rolę w teatrze świata. Święci to jedyni ludzie, którzy w pełni *są*. „*Szukajcie siebie we mnie*" powiedział Chrystus do Teresy z Awili.

*

Nasza jedyność niewysłowiona, to nasze powołanie. Coś, co czyni nas nieodzownymi Bogu i światu. Jeżeli zdradzimy, nic nas nie zastąpi. Skolektywizowany robot nie zostanie świętym: odciął się od własnych źródeł a więc od źródeł świętości.

Ale na to, abyśmy mogli przyjąć nasze powołanie, być sobą, trzeba nam wielkich sił, Bożych sił. Skrajny indywidualizm jest tylko karykaturą osobowości. O własnych siłach szuka czegoś, co go nieskończenie przerasta. I cóż, że skataloguje dreszcze naskórka? Duszy nie chwyci na arkan. — Dlatego wpada w rozpacz i zwątpienie, dlatego w końcu szuka lekarstwa w kolektywie.

Święty wie, że o własnych siłach nie ma dostępu do swojej duszy, że zarezerwował ją sobie Bóg, o którym Pismo mówi, że jest „zazdrosny".

Podczas, gdy wzrost subiektywizmu przecina więzy społeczne, łączące jednostkę z dookolnym światem, osobowość człowieka, wypełniająca się w Chrystusie, rośnie w parze z poczuciem odpowiedzialności za cały świat. Napięcie między aspektem personalnym i społecznym przestaje być tragiczne, staje się życiodajne. *Rosnąc w głąb*, chrześcijanin w tym samym stopniu *rośnie wszerz*. Odnajdując siebie odnajduje świat, *obejmuje go ramionami rozpiętymi w krzyż*. Im bardziej Bóg jest mu ojcem, tym bardziej stworzenia są mu braćmi. Samopoznanie nie zasklepia go w sobie, lecz rozwiera na przestrzał. Źródło obłaskawione tryska wodą żywą. *Im więcej daje, tym bardziej jest.*

Święci są dowodem rozwiązania antynomii człowieczej — w Chrystusie. Święci w znaczeniu Pawłowym, czyli sprawiedliwi, w poczet których każdy chrześcijanin powinien zdążać, nie z wielkoduszności, ale z obowiązku. I tu nasuwa się zasadnicze pytanie: *co stanowi i warunkuje owo dążenie?*

Od czasów Renesansu punkt ciężkości został przesunięty na wysiłek człowieka, który raczej pracuje *dla Boga* niż *w jedności z Nim*. Zatruty posiew protestantyzmu wydał smutny plon — nawet na gruncie prawowiernym. Coraz bardziej przekonany o swej autonomii człowiek nie wymawiał się wprawdzie jeszcze przed służbą Bożą, ale chciał ją pełnić sam, o własnych siłach. Boga zapraszał na widza swych wyczynów nie pomnąc, że tylko w grzechu jest sam i że dobro, *wszelkie* dobro w nim, to owoc najściślejszej współpracy między naturą i Łaską. I tak zaczął fałszować prawdę, która go stanowi, aż doszedł do obecnej katastrofy. Jedynym dlań ratunkiem jest dziś odnalezienie utraconej równowagi, a więc powrót do Chrystusa, który jeden „Boga nam opowiedział".

*

Jeżeli poddamy rewizji treść pojęciową i emocjonalną, którą nasuwa słowo: Kościół, przekonamy się, że są w niej jakby różne nawarstwienia nie zawsze sklejone. Przeważa może stosunek formalny do czcigodnej instytucji, której zapewne wiele zawdzięczamy, która ma coś do powiedzenia w najważniejszych momentach naszego życia, która ma swoje jasne i ciemne strony, która w tym i owym nieraz nas gniewa, gorszy, od której, koniec końców, jako laicy możemy i wolimy być na dystans. Poza tym powierzchownym ujęciem istnieją zapewne także inne aspekty, głębsze i podnioślejsze, ale bez istotnego związku z naszym praktycznym doświadczeniem. „Należymy" do Kościoła tak, jak się należy do wielkiej organizacji, która nakłada pewne obowiązki i wzamian daje nam wartości. Jesteśmy lojalni i sumienni, staramy się mu wypłacić co do joty z przykazanych powinności, począwszy od spowiedzi wielkanocnej, a skończywszy na pewnym udziale w Akcji Katolickiej, choć nie lubimy, gdy miesza się zanadto w nasze sprawy, bronimy go wielkodusznie, gdy zajdzie potrzeba — jesteśmy porządnymi katolikami, dobrymi synami Kościoła.

Lecz oto, przyjrzawszy się uważniej spostrzeżemy rychło, że między naszym głębokim życiem i życiem Kościoła nie ma istotnych związków, tym mniej identyczności. Nie wiemy dość, *żeśmy sami* Kościołem i że *Kościół to nie coś, lecz Ktoś: Chrystus w nas i wpośród nas*, rozpięty niejako na krzyżu czasu i przestrzeni, rozrastającej się na miarę swojej „pełni" (pleroma). Uprzytomnienie sobie tych prawd elementarnych, którymi żyli najdosłowniej pierwsi chrześcijanie, może dokonać w nas błogosławionej rewolucji. Wszak całe to zagadnienie sprowadza się do tego jednego: żeby zrozumieć, przyjąć, wyzyskać Boży dar. „Jam zawsze gotów dawać" powiedział Chrystus do bł. Anieli z Foligno „lecz tyś nie zawsze gotowa brać". Jesteśmy jak żebracy, umierający z głodu przy zastawionych stołach.

Nie łudźmy się jednak, jakobyśmy mogli pojąć Kościół rozumem lub, że wprowadzi nas weń teologiczny traktat. Kościół to *tajemnica*, tajemnica wiary, w tym samym stopniu przerastająca rozum, co dogmat Wcielenia. Na to aby go pojąć, trzeba w nim być. Jak witraże gotyckiej katedry rozświetlają się tylko od wewnątrz, płoną przepychem kolorów tylko tym, którzy *wejdą* ale kryją swój czar przed obojętnym przechodniem, podobnie tajemnice wiary, szare i bezbarwne dla ludzi z zewnątrz, objawiają swoją treść niezgłębioną wyłącznie tym, którzy ujmują ją od *wewnątrz*, nie rozumem, lecz oczyma wiary. Moment ten wymaga gruntownego podkreślenia. Mówiąc o Kościele w jego treści, w jego *tajemnicy* nie mogę się spodziewać tego samego rezonansu u wierzących i u niewierzących, inaczej mówiąc u tych, co mają wiarę żywą i u tych, co jej nie mają. Pierwsi posiadają jakby *zmysł tajemnicy*, odbijają się od twardego lądu poznania, by wpłynąć na pełne, niezgłębione, niezbeszłe morze wiary — drudzy czepiają się kurczowo rozumowych przesłanek, gorszy ich morze, iż nie jest lądem: nie umieją pływać.

Wiara to wejrzenie Boże zaszczepione w nas dla widzenia rzeczy Bożych. To światło, wywodzące się ze światła Bożego, to możność widzenia tego, *co jest*, oczyma Boga. A więc nie okulary wzmacniające nasze oczy cielesne, lecz zaszczepione w żywym miąższu naszego człowieczeństwa oczy nowe, oczy Boże, zaczątek nowego wejrzenia, które jest wejrzeniem Bożym, jako że wywodzi się od Niego, ale jest również wejrzeniem moim, jako że zaiste zaszczepione jest i przyswojone mojemu własnemu istnieniu.

Tajemnice wiary są tylko dostępne oczom wiary — *Kościół można pojąć tylko od wewnątrz*. Fakt ten dlatego jest taki doniosły, że istnieją dziś wśród katolików pewne tendencje niwelacyjne, zacieśniające zasadniczą i jakościową różnicę między wierzącymi i niewierzącymi. Jakżeż często usiłujemy tłumaczyć prawdy wiary „na rozum", gdy należało by po prostu kazać modlić się o łaskę wiary. Wejrzenie Boże tylko Bóg może dać — i cała mądrość ludzka jest tu bezsilna.

Istnieje jednak inne jeszcze niebezpieczeństwo. Oczy, którymi się człowiek *nie* posługuje ulegają stopniowej atrofii. Wiara nie używana jest jak źródło wody żywej, zasypane piachem. Trzeba rzetelnego trudu, aby przedrzeć tę zaporę i odnaleźć nurt. Takim ćwiczeniem wiary jest modlitwa.

*

Spójrzmy teraz na Kościół wejrzeniem wiary. Św. Paweł Apostoł ujmuje jego tajemnicę lapidarnym słowem: Corpus Christi. Ciało Chrystusowe. Kościół to przedłużenie i wypełnienie Chrystusa: to Chrystus cały. Nie tylko głowa lecz i członki z nią związane nierozerwalnie, w których do końca wieków powtarza się i wypełnia życie Chrystusowe, lecz i śmierć Chrystusowa.

Chrystus jest naszą pełnią. Bez Niego nie jesteśmy sobą: ani w naszej istności indywidualnej, ani w naszej istności społecznej. *Ale i bez nas Chrystus nie jest cały.* Jesteśmy mu potrzebni, jak ciało potrzebne jest głowie. Jest to zjednoczenie tak przedziwne, tak istotne, że najśmielsze porównania nie są zdolne go wyrazić. Latorośl winna i szczep, gody Oblubieńca i Oblubienicy, budowanie z żywych kamieni na kamieniu węgielnym — Chrystusie, nawet najpiękniejsze i najśmielsze porównania Pawłowe z ludzkim ciałem, to ubogie analogie niezdolne wyczerpać niedościgłych bogactw zawartych w tajemnicy jedności naszej z Chrystusem, w tajemnicy Kościoła.

Pierwsi chrześcijanie żyli tą prawdą. Wystarczy przejrzeć teksty Ojców Kościoła, aby się przekonać, jak poczesne miejsce zajmuje w nich „tajemnica" Pawłowa. Ignacy i Justyn, Polikarp i Anastazy, Jan Chryzostom i Cyryl Aleksandryjski, Ambroży i Augustyn prześcigają się w sławieniu odnalezionej jedności. Prawdy teologiczne nie zakrzepły jeszcze wówczas w sztywne formuły, tętniły żywą krwią. Nie były tylko darem specjalistów, ale wszystkich wiernych. Przyjmując chrzest każdy wiedział, że topi symbolicznie starego człowieka, niewolnika grzechu, by mógł w nim narodzić się i róść człowiek nowy. Chrystus. Eucharystia nie była dlań środkiem do indywidualnego udoskonalenia, ale pokarmem koniecznym dla wzrostu nowego człowieka i warunkiem zjednoczenia z Chrystusem i z braćmi w Mistycznym Ciele.

Tajemnica Kościoła jest konsekwencją i wypełnieniem tajemnicy Wcielenia. Jeżeli Słowo stało się Ciałem, by nas odkupić od grzechu, który poważnił nas z Bogiem, tedy tylko w ciasnym zjednoczeniu ze Słowem Wcielonym, obleczeni weń i niejako zastąpieni przez Niego będziemy mogli podobać się Bogu, odzyskać dostęp do Boga. Grzech przeciął wszystkie mosty łączące niebo z ziemią — i trzeba było, aby *Syn Boży sam przerzucił się mostem między Ojcem i braćmi* (Pontifex od „pons" - most), *aby sam stał się drogą*. Człowiek nie ma dostępu do Boga, jeno w Chrystusie. Narzędziem zaś, miejscem i wypełnieniem tego zjednoczenia jest Kościół. *A więc przynależność do Kościoła jest miarą naszego zjednoczenia z Chrystusem.*

Dla pierwszych chrześcijan nie były to żadne abstrakcje, ale życie i siła. Przyjmowali Boży dar sercem dziecka — w całym jego bogactwie niewysłowionym. Nie bali się wielkich słów, *nie wstydzili się prawdy*. I prawda ich wyzwalała. Pomyślmy tylko, do jakich konsekwencji wiedzie praktyczne przyjęcie Dobrej Nowiny, dosłowne branie Chrystusowych słów? Ci ludzie, nawet grzeszni, wiedzieli, co to jest grzech i kto ich zbawić może.

Dziś najgłębsze prawdy chrześcijaństwa jakby zdarły się w nas i spłowiały. Nie *żyjemy* nimi, gdyż przeważnie po prostu ich nie *znamy*.

Kościół, Corpus Christi, jest *owocem* Wcielenia. Język łaciński tłumaczy to dwoma dosadnymi wyrażeniami. *Incarnatio*, czyli zjednoczenie w jednej Osobie Boskiej dwu natur, Boskiej i ludzkiej, wiedzie do *Incorporatio*, czyli do wcielenia Chrystusa w nas. Ten drugi etap jest wypełnieniem ekonomii Odkupienia. Uderza nas w tych twardych formułach bezwzględny ich realizm. To nie figury poetyckie, ani porównania idealne, ale coś, co *jest i musi być brane* dosłownie. Wyrazisty kontur prawdy nie cierpi żadnych cieniowań. „Tak, tak", „nie, nie". Ta stanowczość przeraża niekiedy umysły współczesne. Wolelibyśmy mieć większe pole dla własnych domysłów. Ale prawda jest prosta i jedna — nie wchodzi w kompromisy. I dość ku niej wyciągnąć ręce, by ujrzeć, że nie idzie ku nam sama, ale wiedzie ją za rękę — miłość. „Aletheuein en agape" mówi święty Paweł — *żyć prawdą można tylko w miłości.*

*

A teraz zobaczymy konsekwencje, wynikające z tych mocnych założeń. Jednocząc nas ze sobą Chrystus wypełnia nasze najgłębsze tęsknoty, nasz cel. W Nim jesteśmy sobą i wszystkim zarazem. Bożą myślą, złożoną w nas od początku i cząstką przedziwnej całości. On jedna nas z Bogiem. On scala nas w sobie. On sprzymierza nas i godzi ze wszechświatem: „Pax nostra". Najstrzelistsze zachwycenia świętych opadają bezradnie wobec tych prawd zawrotnych. Słusznie woła św. Leon w wigilijną noc: „*Cognosce Christiane dignitem tuam*", „poznaj, chrześcijanie dostojeństwo twoje".

Jak do Boga mamy dostęp tylko przez Chrystusa, On sam daje się nam tylko przez Kościół, w Kościele, który jest jego i naszą pełnią. Środkiem zaś, sprawującym to zjednoczenie są sakramenty. Kościół, Corpus Christi *jest prostą konsekwencją logiki Wcielenia*. Stając się człowiekiem Syn Boży przyjął naturę człowieczą zmysłową i duchową zarazem, osobową i zbiorową, wewnętrzną i zewnętrzną. Podobnie jak Kościół cały, sakramenty przedłużają wcielenie Słowa, na swoim planie i na swój sposób posłuszne są logice Bożego uczłowieczenia. Duch Święty sprawuje wcielenie Słowa, które rodzi się „ex muliere", z niewiasty. Chrześcijanie w łonie Kościoła rodzą się także z Ducha Św. lecz jednocześnie „ex aqua", z wody, czyli za pośrednictwem i na sposób stworzenia zmysłowego.

Podobnie i Ciało mistyczne nie jest rzeczywistością pod każdym względem duchową, niewidzialną i nieuchwytną. Posiada również aspekt cielesny i widzialny, w Kościele hierarchicznym i społecznym. „Sakrament" jest tym punktem, w którym te dwa aspekty spotykają się i jednoczą, kategorią, w której wyraża się konieczność zespolenia Ciała mistycznego z Kościołem widzialnym. Albowiem sam Kościół widzialny, jak długi i szeroki, nie jest niczym innym *jak sakramentalnym znakiem Słowa Wcielonego, Ukrzyżowanego i Zmartwychwstałego*. Sięgając jeszcze głębiej możemy rzec za św. Tomaszem, że pierwszym sakramentem jest samo człowieczeństwo Chrystusa, tłumaczące na nasze cielesne bytowanie nurt Bożego życia, „gdyż w Nim mieszka wszystka zupełność Bóstwa cieleśnie" — mówi św. Paweł.

Wszystkie sakramenty współdziałają w budowie Ciała mistycznego, lecz wśród nich prym dzierży Eucharystia, której istotą i celem jest „*sprawowanie jedności*". Chrzest wciela nas w Chrystusa, włącza nas w Kościół, zaszczepia w nas „nowego człowieka", który wszelako nie może róść, jeżeli odmówimy mu pokarmu. Pokarmem tym, równie nieodzownym dla wzrostu Chrystusa w nas, jak pokarm fizyczny jest nieodzowny dla utrzymania życia fizycznego, jest właśnie Eucharystia. Toteż wszystkie sakramenty, po-

ODNALEZIENIE GROBU ŚW. PIOTRA

Papież Pius XI wyraził życzenie, by pochowano go w grotach watykańskich, pod bazyliką św. Piotra. W związku z tym i ze swoim zamiarem przeprowadzenia systematycznych badań pod bazyliką, Pius XII zarządził w 1939 r. metodyczne badania, które trwały przez kilka lat, nawet mimo szalejącej drugiej wojny światowej. Były one przeprowadzone także i to przede wszystkim pod ołtarzem Konfesji, pod którym według tradycji miał znajdować się grób św Piotra. Obecnie wyniki badań pod Konfesją zostały ogłoszone w dwutomowym dziele.

Badania zidentyfikowały grób, w którym złożone było po męczeństwie św. Piotra jego ciało. Grób ten był później otoczony innymi grobami, ale on jedynie został zabezpieczony murowaniami i trzema niszami tworzącymi pomnik, „starożytne tropaeum sławnego grobu Księcia Apostołów", jak mówił Pius XII w przeddzień rozpoczęcia Roku Jubileuszowego, 23 grudnia 1949 r.; ten grobowiec, o którym pisał kapłan Gaius około roku 200: „Mogę pokazać tropaea Apostołów. Albowiem czy to do Watykanu czy na drogę Ostieńską zechcesz się skierować, napotkasz tropaea tych którzy ten Kościół założyli." (p. Euzebiusz, Historia Kościoła, 2, 25, 6 - 7).

I dlatego z radością stwierdza „Osservatore Romano" w numerze z 21 grudnia 1951 r.: „Słowo ostateczne zostało powiedziane. Wiedza, która nie wierzy, jeśli nie widzi, zobaczyła. Wierzy z Kościołem, z tradycją, z historią, ze sztuką.

Z Kościołem, który jednomyślnie nawet wśród odłączonych, zawsze uważał za nie dające się zaprzeczyć istnienie grobu św. Piotra w Rzymie. Z tradycją, nieprzerwaną nawet po tym czasie, kiedy oko pielgrzyma nie mogło więcej ujrzeć, na dole w sercu Konfesji, grobu, który, u świętego kresu jego pielgrzymki, przyjmował ostatnie jego westchnienie: „nunc dimittis" tego, kto w końcu dopełnił wotum całego życia. Z historią, która zebrała najpierwsze świadectwo, powtarzane wszędzie z tą samą radością, z jaką niegdyś Apostołowie zawołali: „widzieliśmy Pana", a ci szczęśliwi powtarzali: „widzieliśmy tropaeum Piotra". Ze sztuką wreszcie, która wyśpiewywała w niezrównany sposób ten poemat Wiary wieków chrześcijańskich.

Archeologia go przypieczętowuje. Temu Tomaszowi, wątpiącemu wobec słowa i rozradowanych Braci, Wikariusz Chrystusa powiedział to, co Chrystus powiedział uczniowi: dotknij się, więc, swoją ręką".

„Osservatore Romano" kończy swój artykuł: „Pontyfikat Piusa XII jeszcze to zapisuje: z ogłoszeniem dogmatu Wniebowzięcia, z beatyfikacją Piusa X, odnalezienie Grobu Piotra, dla chwały świętej Matki Kościoła i dla suwerennego majestatu Wikariusza Chrystusowego".

Warto przy tej sposobności przypomnieć, co zanotowała historia Papiestwa.

Juliusz II pozwalał na wszystko Bramantemu przy burzeniu dawnej bazyli watykańskiej — ale do pewnego momentu. Bramante zamierzał zmienić położenie, o ś planowanej nowej bazyliki, by w ten sposób bazylika okazała się wspanialsza; w tym celu trzeba było p r z e s u n ą ć grób, w którym spoczywały święte szczątki Księcia Apostołów. Wówczas Papież sprzeciwił się kategorycznie. Nie pomogły żadne argumenty Bramantego ani artystyczne, ani nawet o charakterze religijnym, jak się Bramantemu wydawało. Papież nie zgodził się na naruszenie grobu tego Apostoła, na którym Chrystus zbudował swój Kościół. Sztuka musiała ugiąć się przed religią.

Historyk belgijski, Godfred Kurth, w swoich wykładach o Kościele w przełomowych godzinach historii pisze o tym fakcie historycznym: „Wielce znamienny jest ten epizod. Mówi on przyjaciołom i wrogom, że Kościół katolicki dostosowuje się do wszystkich postępów myśli i do wszystkich form sztuki, lecz będąc umocniony i niezachwiany na skalę prawd wiecznych, nie pozwala nigdy, ażeby została p r z e s u n i ę t a oś świata, ta, którą on zorientował w kierunku na niebo."

(J)

cząwszy od chrztu, są tylko funkcją Eucharystii, istnieją dla niej i ku niej zmierzają. Bez niej nie byłoby Kościoła.

Wieki indywidualizmu zatarły w nas zrozumienie Eucharystii. Nie dość pamiętamy, że jest ona w swej istocie sakramentem naszego wcielenia w Chrystusa i że w tej mierze realnie jednoczymy się z Chrystusem, w jakiej korzystamy w Eucharystii. „Kto pożywa ciała mojego i pije krew moją, we mnie mieszka a ja w nim" Przez Komunię Chrystus wstępuje w nas ale zarazem wkorzenia nas w siebie, zespala z Ciałem swym, Kościołem. Chrystus daje się nam „cały" a więc nie tylko głowę, ale także w jedności ze wszystkimi swoimi członkami — cały Kościół triumfujący, cierpiący i wojujący zespala się z nami w tajemnicy Ołtarza.

Teologowie wszystkich wieków stwierdzają jednomyślnie tę wspaniałą doktrynę. Najpełniejszy wyraz dał jej św. Tomasz z Akwinu. „Sakrament ten — pisze — oznacza podwójną rzecz: Ciało Chrystusowe prawdziwe i mistyczne; oznacza on *jedność kościelną*, w którą zespala ludzi: i dlatego zwie się komunią, zespoleniem. Przez tę komunię jednoczymy się z Chrystusem, uczestniczymy w Jego Ciele i w Jego Bóstwie i przez nią również jednoczymy się i zespalamy ze sobą nawzajem" (IIIq. LXXIII a.4 i a.3).

Tak więc przez Eucharystię życie Chrystusowe staje się naszym udziałem. Przyjmując Go, dając Mu w sobie róść, *żyjemy już nie sobie, lecz Jemu*. „Kto mnie pożywa żyć będzie dla mnie". Ale zarazem, przedziwnym paradoksem, jedność z Chrystusem *odsłania mam najgłębszą naszą treść*: to, *czym* jesteśmy i *dlaczego*, nasze „imię nowe", nasze powołanie. Tracąc na pozór duszę, odzyskujemy ją niewysłowienie. Żyjąc życiem Chrystusa i jakby na jego konto jesteśmy zarazem najpełniej sobą i zespalamy się najciaśniej nie tylko ze społecznością żyjących braci, nie tylko z Kościołem wojującym, ale także z Kościołem cierpiącym i chwalebnym, ale także z całym stworzeniem. Katolik to człowiek, który sercem obejmuje cały świat. „*Wszystko jest wasze, mówi św. Paweł*, a wyście Chrystusowi a Chrystus jest Boży". Oto w Chrystusie został przywrócony zagubiony ład. Zbuntowane stworzenie znów się nam garnie w ręce i śpiewa z nami kantyk chwały. W każdym człowieku widzimy brata. Mamy nie tylko oczy nowe, oczy wiary, ale bije w nas również serce Boże, miłość „nie z nas".

I to jest najpiękniejszy owoc naszej jedności z Kościołem, Ciałem mistycznym Chrystusowym. Nie serce nasze cielesne rozrasta się na miarę świata, lecz zaszczepia się z nim niejako serce nowe, zrodzone z Łaski. Nie możemy dość silnie podkreślić transcendencji życia nadprzyrodzonego, różnego jakościowo od życia przyrodzonego. Między humanitaryzmem i miłością bliźniego, jaką zaleca nam i daje Chrystus, (*u Boga słowo jest czynem*) istnieje przepaść nieprzebyta).

Kochać bliźniego jak siebie samego można tylko w Chrystusie, który dając się nam daje nam swoją miłość „mocniejszą nad śmierć". Nakaz jest jasny: bez tej miłości, wszystko ogarniającej nie sposób być uczniem Chrystusowym: „Słyszeliście iż powiedziano: będziesz miłował bliźniego twego, a będziesz miał w nienawiści nieprzyjaciela twego. A ja wam powiadam: miłujcie nieprzyjacioły wasze, dobrze czyńcie tym, którzy was nienawidzą: a módlcie się za prześladujących i spotwarzających was. Albowiem jeśli miłujecie tych, co was miłują, cóż za zapłatę mieć będziecie? Azaż i celnicy tak nie czynią? A jeślibyście pozdrawiali tylko braci waszych, cóż więcej czynicie? azaż i poganie tego nie czynią? Bądźcież tedy doskonali jako i Ojciec wasz niebieski doskonałym jest".

Trzeba, aby Ten, który rzucił taki nakaz skłóconej ludzkości, miał zarazem moc zaszczepić w niej zdolność wykonania, gdyż nic nie jest bardziej przeciwne naturze człowieczej jak miłość nieprzyjaciół. Żyjemy w czasach, gdy, wśród wielu firmowych katolików święci triumf synagoga: „Oko za oko, ząb za ząb, miej w nienawiści nieprzyjaciela twego". Dobra nowina wciąż od nowa, w krwawym trudzie musi przecrywać świat — nie tylko pogański, ale także chrześcijański. „Po tym poznają, żeście uczniami moimi, jeśli miłość mieć będziecie jedni ku drugim". Gdyby istniał jakowyś sejsmograf duchowy, odmierzający miłość w sercach chrześcijan oficjalnych, iluż by się ostało w gronie uczniów? A także ilu by się znalazło uczniów mimowolnych, wpośród tych, co Chrystusa nie znają, może z naszej winy? Pamiętajmy, że oprócz chrztu z wody istnieje chrzest pragnienia i chrzest krwi! I niejeden z tych, co podaje kubek wody spragnionemu, zdziwi się kiedyś zdziwieniem wielkim, widząc *komu* służył. „Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych najmniejszych, *mnieście* uczynili".

II część artykułu w następnym numerze.

PAMIĘTAJ o KATOLICKICH NAGRODACH LITERACKICH

T. S. ELIOT TŁUM. W. GNIATCZYŃSKI

INTERLUDIUM

ARCYBISKUP (TOMASZ BECKET) WYGŁASZA KAZANIE W KATEDRZE (W CANTERBURY) W PORANEK BOŻEGO NARODZENIA 1170 ROKU

„Chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli." Czternasty wiersz drugiego rozdziału Ewangelii według świętego Łukasza. W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

Drogie dzieci Boże, moje kazanie tego bożenarodzeniowego ranka będzie bardzo krótkie. Pragnę tylko, byście zastanowili się w sercach waszych nad głębokim znaczeniem i tajemnicą naszych Mszy w Boże Narodzenie. Bo ilekroć odprawia się Mszę, od nowa przeprowadzamy Mękę i Śmierć Pana: a w ranek Bożego Narodzenia czynimy to, aby uczcić Jego Narodziny. Tak więc równocześnie radujemy się Jego przyjściem i zbawieniem ludzi oraz zanosimy Jego Ciało i Krew w ofierze, obmyciu i zadośćuczynieniu za grzechy całego świata. Właśnie tej samej nocy, która co dopiero minęła, niezliczoność zastępu niebieskiego zjawiła się przed pasterzami w Betlejem mówiąc: „Chwała na wysokościach Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli"; z całego roku o tymże właśnie czasie obchodzimy naraz Narodziny Pana i Jego Mękę i Śmierć na krzyżu. Najmilsi, w oczach świata zachowujemy się dziwnie. Bo któż na świecie będzie i płakał, i radował się równocześnie i z tej samej przyczyny? Bowiem albo żal przezwycięży radość, albo radość wyrzuci żal; tak więc tylko w naszych chrześcijańskich tajemnicach potrafimy radować się i opłakiwać naraz i z tej samej przyczyny. Pomyślcie teraz przez chwilę nad znaczeniem wyrazu „pokój". Czy nie wydaje się wam to dziwne, że anioły oznajmiły pokój, kiedy wojna i strach bez ustanku otaczały świat? Czy nie sądzicie, że anielskie głosy myliły się i że obietnica jest rozczarowaniem i oszustwem?

Pomyślcie teraz, jak sam Pan nasz mówił o pokoju. Rzekł do swych uczniów: „Pokój zostawiam wam, pokój mój daję wam". Czy miał na myśli taki pokój, jakim my go znamy: królestwo angielskie w pokoju z sąsiadami, baronowie w pokoju z królem, właściciel domu liczący swe pokojowe zyski, zamieciona izba, na stole najlepsze wino dla przyjaciela, żona śpiewająca dzieciom? Ludzie ci — uczniowie Jego — nic takiego nie znali: wyjechali w dalekie podróże, by cierpieć na lądzie i morzu, zaznać męczarni, więzienia, rozczarowania, cierpieć męczeńską śmierć. Cóż więc miał na myśli? Jeśli tak zapytacie, pamiętajcie wtedy, że powiedział też: „Nie jako daje świat, ja wam daję". Tak więc dał swym uczniom pokój, ale nie pokój, jaki ten świat daje.

Rozważcie też coś, o czym pewnie nigdy nie myśleliście. Nie tylko obchodzimy w święto Bożego Narodzenia równocześnie narodziny i śmierć naszego Pana: ale następnego dnia obchodzimy męczeństwo Jego pierwszego męczennika, błogosławionego Stefana. Czy sądzicie, że dzień pierwszego męczennika następuje zaraz po narodzinach Chrystusa przypadkowo? Wcale nie. Właśnie tak jak naraz radujemy się i opłakujemy Narodziny i Mękę naszego Pana, tak radujemy się i opłakujemy, w mniejszej postaci, śmierć męczenników. Opłakujemy grzechy świata, który ich umęczył; radujemy się, bo jeszcze jedna dusza liczy się między świętymi w niebie dla chwały Boga i dla zbawienia ludzi.

Najmilsi, nie uważamy męczennika za po prostu dobrego chrześcijanina: dla takiej przyczyny należało by tylko płakać. Nie uważamy go za po prostu dobrego chrześcijanina, który wzniósł się do towarzystwa świętych; dla takiej przyczyny należało by tylko radować się; i ani nasze opłakiwanie, ani radość nie jest z tego świata. — Chrześcijańskie męczeństwo nigdy nie jest dziełem przypadku. Tym mniej wynika chrześcijańskie męczeństwo z człowieka woli pozostania świętym, bo człowiek przez chcenie i planowanie zostaje władcą ludzi. Męczeństwo jest zawsze planem Boga, z Jego miłości dla ludzi, aby ich ostrzec i prowadzić, aby ich naprowadzać na swoje drogi. Nigdy nie jest planem ludzkim; bo prawdziwym męczennikiem jest ten, kto stał się narzędziem Boga, kto zagubił swą wolę w woli Boga i kto dla siebie nie pragnie już niczego, nawet chwały zostania męczennikiem. Tak to jak na ziemi Kościół opłakuje i równocześnie raduje się w sposób dla świata niezrozumiały, tak w niebie święci są najwyżsi zrobiwszy się najniższymi i widać ich nie jak my ich widzimy, ale w świetle Bożej Głowy, od której pochodzą.

Mówię dziś wam, drogie dzieci Boże, o męczennikach przeszłości, prosząc was szczególnie o pamiętanie naszego męczennika z Canterbury, błogosławionego arcybiskupa Elphege; tak bowiem się należy, by w dzień Narodzin Chrystusa pamiętać, jakim jest ten pokój, który przyniósł On; i dlatego, drogie dzieci, że nie sądzę, bym kiedykolwiek miał znowu wygłaszać do was kazanie; i dlatego, że może już wkrótce będziecie mieli jeszcze jednego męczennika i to może nie ostatniego. Pragnąłbym, abyście zachowali w sercach te słowa, jakie mówię i pomyśleli o nich kiedyindziej. W Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen.

T. S. Eliot

Nota tłumacza: T. S. Eliot jest, jak wiadomo, członkiem Kościoła anglikańskiego, należy jednak do odłamu „propapistowskiego". W swym czasopiśmie „The Criterion" nawoływał do odbudowania władzy episkopalnej w Anglii uważając, że tylko przy jej pomocy można stawić czoła materializmowi. Jest niewątpliwie jednym z najwybitniejszych intelektualistów w grupie antymaterialistów angielskich, w tej grupie, do której zaliczyć należy nie tylko jego dawnych współpracowników, H. Reada i R. Churcha, lecz również Chestertona i Belloca. Nie bez choćby symbolicznego znaczenia jest fakt, że w swym nawrocie do starych form literackich Eliot zwrócił uwagę na interludia, szesnastowieczne „sztuki" religijne które swego najwybitniejszego autora miały w Janie Heywoodzie, przyjacielu Tomasza More'a i oddanym katoliku.

Niniejsze I n t e r l u d i u m jest częścią sztuki „Murder in the Cathedral" (napisanej w r. 1935) której instrygę stanowi zamordowanie św. Tomasza Becketa (ur. 1118 r.) przez siepaczy Heryka II w dniu 29 grudnia 1170 r. w katedrze canterburskiej. Kaplica św. Tomasza (został kanonizowany w r. 1172) w Canterbury wnet stała się miejscem szerokiego kultu i celem tradycyjnych pielgrzymek. Dwieście lat później pielgrzymki te dały Chaucerowi pretekst do napisania pierwszego a zarazem jednego z największych arcydzieł literatury angielskiej — „The Canterbury Tales" — w których Prologu mówi on, że do Canterbury ściągali „różni ludzie, aby podziękować swemu świętemu za wiele otrzymanych łask"

W. Gniatczyński

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

Statua Matki Boskiej Fatimskiej w Moskwie. W 1947 r. biskup diecezji Leiria, do której należy Fatima, poświęcił statuę Matki Boskiej Fatimskiej, zabraną następnie do Stanów Zjednoczonych. Przez rok statua była umieszczona w instytucie Ave Maria w Waszyngtonie, później była w Filadelfii w klasztorze karmelitańskim. W 1950 r. przewieziono ją do Moskwy i umieszczono ją w pokoju, którego okna wychodzą na Kreml. Fotografię tego pokoju wraz ze statuą zamieścił „The Voice of Fatima" z 13 grudnia ub. r. Miesięcznik ten jest oficjalnym organem Sanktuarium i Krzyżowców Fatimy; w Londynie można go nabyć u Ducketta, 140, Strand, W. C. 2 w cenie 6 d za egz.

Czym jest Rzym? W krótkim przemówieniu do pielgrzymki bawarskiej 1 stycznia powiedział Papież: „Roma aeterna, Rzym wieczny oznajmia przede wszystkim jedno: działanie Bożej Opatrzności... Civitas Dei św. Augustyna musi być tutaj w Rzymie czytana. Punktem szczytowym zwiedzania Rzymu będzie oczywiście zawsze bazylika św. Piotra. Ona jest symbolem religijnego wiecznego Rzymu wiary chrześcijańskiej, Kościoła kat. jego woli przyniesienia całemu światu prawdy łaski Chrystusa i jego świadomości, że jest ponadczasowym i przetrwa wszystkie czasy."

Z modlitwy kardynała Spelmana za Polskę: „W obliczu Twoim, Panie, postanawiam dzisiaj nie ustawać w wysiłku i nie zapominać nigdy, że żaden tyran nie potrafi zabić ducha narodu polskiego ani przeszkodzić synom i córkom Polski w pochodzie do ich wiecznego przeznaczenia. O łaski te prosimy Cię, Panie, w Imię Chrystusa i ukochanej Pani Częstochowskiej Opiekunki Narodu Polskiego."

Potomek prześladowców księdzem. Wyświęcony na księdza Vito. li Folifenua, urodzony na wyspie Fortuna, pochodzi ze szczepu, którego członkowie zamordowali św. Piotra Chanel, pierwszego męczennika na Oceanii.

Nawrócenia wśród pisarzy. Nawrócili się na wiarę katolicką Klara Nordstroem, pisarka i poetka szwedzka, i Edward Schaper, pisarz z krajów bałtyckich, przebywający obecnie w Szwajcarii.

Zasady chrześcijańskie normą życia społecznego. W Ekwadorze powstała nowa partia polityczna pod nazwą Ruch Chrześcijańsko-społeczny (M.S.C.) z zamiarem ustalenia zasad chrześcijańskich jako normy życia społecznego. W deklaracji wysunięto następujące zasady: 1) rodzina jest pierwszą i podstawową jednostką społeczną; 2) zatrudnienia i zawody powinny być zorganizowane bez popadania w totalitaryzm; 3) musi istnieć harmonijna działalność i poszanowanie między Kościołem i Państwem; 4) pracownikom należy umożliwić zakładanie rodziny i prowadzenie życia rodzinnego na odpowiednim poziomie, pracownicy powinni mieć udział w zyskach przedsiębiorstw.

Komunizowanie młodzieży polskiej. W początkach grudnia odbył się w Warszawie ogólny zjazd nauczycielstwa polskiego pod kierownictwem aktywistów szkolnych. Obradowano nad metodami intensywnego komunizowania młodzieży polskiej w ciągu trwania planu 6-letniego. Na zakończenie zjazdu wysłano na ręce Bieruta hołdowniczy list w którym nauczyciele zobowiązują się do spotęgowania sowietyzacji Polski oraz przyrzekają wierność sowieckiej Rosji i walkę „w światowym obozie pokoju, któremu przewodniczy wielki Stalin".

ANTONI WESTFALSKI POLSKA DIASPORA

„POLACY STALI SIĘ NOWYMI NOWOZELANDCZYKAMI"

Tak brzmi tytuł artykułu, który niedawno pojawił się na łamach tygodnika katolickiego „Zealandia", wychodzącego w Auckland, N.Z., a sens którego dałby się streścić w dwu zdaniach: Młodzież polska wynaradawia się. Jak to dobrze!

Poprzez cały artykuł, od góry do dołu, przebija nieukrywana nuta radości z tego, że młodzież nasza rzekomo zatraca polskość, zaczyna się wynaradawiać ni od awi się jeszcze tym najmłodszym z „Nowozelandczyków" polskiego pochodzenia prawa do kultury polskiej. Mogą oni, np., gdy zbierają się w „klubie polskim w Auckland" (nawiasem mówiąc nie ma takiego) rozmawiać po polsku i śpiewać polskie pieśni. Co za łaska! Czyżby i w swoim kółku miały polskie dzieci mówić po angielsku i śpiewać „When Irish eyes are smiling"?

Kultura jednak nie jest wszystkim. Można zachować resztki rodzimej kultury a stracić narodowość. Wiedzą o tym dobrze opiekunowie młodzieży w Auckland.

Gdy bowiem trzy lata temu powstało w tym mieście z ich inicjatywy a przy pomocy polskich władz obozowych z Pahiatua koło młodzieży polskiej, hasłem założycieli było dać Polakom wyżyć się w atmosferze kultury polskiej ale nie pozwolić na zachowanie narodowości polskiej. „Polish culture, but not Polish nationality", jak się ktoś wyraził. — Dlaczego? Czyż Polacy nie mają prawa do zachowania odrębności narodowej? — „Nie", odpowiadają czuli opiekunowie, „wzorujcie się na Jugosłowianach i Szwajcarach, którzy tu przed wami przybyli, oni nie mają waszych pretensyj, im kultura wystarcza. Wam również wystarczyć powinna." Ach tak, a więc mamy wzorować się na Szwajcarach. Czy to Szwajcar brał udział w wojnie światowej od pierwszego dnia jej wybuchu? Czy bronił on przez blisko rok cały Londynu od nalotów lotnictwa niemieckiego? Czy Szwajcar odnosił głośne zwycięstwa na wszystkich odcinkach frontów? A może zdobywał on we włoszech pozycje dla innych nie do zdobycia. A nasza wspaniała Armia Krajowa,... a osiem milionów poległych i wymordowanych. Walczyliśmy przez pięć i pół lat dla wspólnej sprawy Brytyjczyków i Amerykanów i ponieśliśmy w tej walce większe niż ktokolwiek bądź ofiary po to, by nas teraz do Szwajcarów przyrównywano. Odmawia nam się nawet prawa do narodowości polskiej. Do kultury nie, do narodowości tak. Wiemy, co to znaczy. Po narodowości przyjdzie kolej i na kulturę.

Młodzież polska przybyła do Nowej Zelandii na specjalnych zresztą prawach. Została ona zaproszona przez rząd Nowej Zelandii na czasowy pobyt, do chwili aż będzie mogła do Kraju powrócić. Są oni gośćmi. Był to piękny gest ze strony premiera Frasera i jego rządu. Nowa Zelandia, jeden z najmłodszych członków anglo-saskiej rodziny narodów, zadośćuczyniła w miarę swych możności za zbrodnię przez świat angiosaski na narodzie polskim w Jałcie popełnioną. Jest to z jej strony czyn godzien pochwały, pod warunkiem jednak, że do końca pozostanie on czynem bezinteresownym. Władze kraju w dalszym ciągu spełniają w tymże duchu swe zobowiązania, ale jeśli chodzi o społeczeństwo, a zwłaszcza o tych, co z ramienia społeczeństwa opiekują się naszą młodzieżą, to nie zawsze dopatrzeć się u nich można bezinteresownego nastawienia. Młodzież polska w Nowej Zelandii, jak zresztą każdy Polak, który z powodu Jałty tułać się musi po świecie, zachowuje nieprzedawnione prawo do powrotu do Kraju, a więc do polskości. Może ona w przyszłości z tego prawa nie skorzystać, to osobista sprawa każdego. Ale prawo pozostaje prawem. I ci właśnie spośród Nowozelandczyków, którzy w czasie wojny ramię w ramię walczyli, ci najlepiej nas rozumieją, zdają oni sobie sprawę z tego, że posiadamy zgoła inny kapitał moralny od reszty uchodźców i w pełni nam nasze prawa przyznają. Szkoda wielka, że w dzieć tego nie chcą opiekunowie naszej młodzieży w Auckland.

Dowiadujemy się z artykułu, kto są ci opiekunowie. Jest ich dwoje, mniejsza o nazwiska. Dowiadujemy się również, że współpracują oni w Wellingtonie z pewną osobą, noszącą nazwisko o polskim brzmieniu, że występują z ramienia sekcji opieki nad dzieckiem Ruchu Młodzieży Katolickiej, że do ich obowiązków należy dbanie o utrzymanie i wychowanie dzieci, zapewnienie im posad po ukończeniu szkół, wesele „picie ich zdrowia na weselach" oraz krajanie cakes'ów na chrzcinach. Te dwie ostatnie funkcje są bezwątpienia najprzyjemniejsze, toteż nic dziwnego, że spełniają oni swe obowiązki, jak stwierdza gazeta, z entuzjazmem. Są inne jeszcze powody entuzjazmu: oto niektóre dzieci zmieniają już swe polskie imiona na angielskie. Jest wśród nich jakiś „Bill". Co za triumf! O ileż Bili przyjemniej brzmi od naszego Zbyszka. Kto wie, może to właśnie ze Zbyszka zrobiono Billa. Trzeba by tylko wiedzieć, czy Zbyszek jest z tej zmiany zadowolony. Ktoś inny połączył swe polskie nazwisko z irlandzkim i ma być z tego bardzo dumny, „very proud of it."

Zdawać by się mogło, że pismo katolickie powinno podkreślać na pierwszym miejscu zasługi opiekunów na polu wychowania katolickiego, a nie rozczulać się nad tego rodzaju faktami. Wszak opiekunowie naszej młodzieży zarówno w Auckland jak i w innych miejscach okazują — pomimo wszystko — sporo dobrych chęci, gorliwości nawet i dbają nie tylko o jej dobro materialne, ale i o jej duchową stronę. Czytelnik artykułu ciekaw byłby dowiedzieć się coś o tym, jak się rozwija, jakim tętnem pulsuje życie religijne młodzieży polskiej w Nowej Zelandii. Niestety o tym głucho. Parę tylko suchych, nie zawsze zresztą ścisłych faktów statystycznie ujętych, wśród których jest z konieczności wzmianka i o szkołach lub bursach katolickich. To wszystko. Nie brak natomiast pochwał i zachwytów nad wynikami pracy opiekunów w innej całkiem dziedzinie, z wychowaniem katolickim nie mającej nic wspólnego, i to nie tylko w tym jednym wypadku. Już kiedyś bowiem, w zeszłym roku była wzmianka w tejże „Zelandii" o pewnej uroczystości, bodaj czy nie o opłatku, urządzonym przez młodzież polską z Auckland w tak zw. „klubie polskim", czyli w lokalu od wypadku do wypadku przez jednego z opiekunów jej wypożyczanym. W czasie opłatka jedna z dziewczynek zaśpiewała po angielsku „When Irish eyes are smiling" i pisze „Zealandia" — gdyśmy tę pieśń posłyszeli, zdaliśmy sobie sprawę, że przemiana jest całkowita, „we knew the transformation was complete." Przemiana czego w co? Dziewczynki polskiej w Nowozelandkę, bo o jakiej innej przemianie może tu być mowa? I kończy „Zealandia": „ci, którym to zawdzięczamy, mogą Bogu dziękować za dobrze spełnione zadanie." Bogu dziękować za co? Za to, że Polka śpiewa „when Irish eyes are smiling." I za to trzeba Bogu dziękować? To jest cel wychowania katolickiego? Tu wyszło szydło z worka! A więc, zdaniem pewnych osób, celem opieki katolików jest nie pogłębienie ducha religijnego, ale wpajanie w polskie dzieci kultury i zwyczajów nowozelandzkich, skoro z opłatka z natury swej czysto polskiej uroczystości w której kultura i zwyczaje polskie winny być w całości zachowane, robi się jakąś dziwną mieszaninę kolęd polskich z angielskimi piosnkami o irlandzkich oczach. I za to właśnie należy specjalnie Bogu dziękować, dziękować za dobrze spełnione zadanie, „for a job well done"?

We wspomnianym poprzednio artykule z 5 lipca ub.r., za który — skoro nie jest podpisany — odpowiada Redakcja, mowa jest o trzech Polkach, które obrały życie zakonne i przebywają obecnie w różnych klasztorach w Nowej Zelandii ale nie ma wzmianki o czwartej, która wstąpiła do nazaretanek i jest w Rzymie. To przemilczenie jest charakterystyczne. Fakt, że Polka wstąpiła do zakonu polskiego nie podoba się widocznie autorom artykułu.

Młodzież polska w Nowej Zelandii nie wynaradawia się zresztą jak by tego pewni jej opiekunowie pragnęli. Zachowała ona, podobnie jak i starsi, swe polskie oblicze, będąc jednocześnie we wszystkim wobec państwa nowozelandzkiego lojalną. Oczywiście jak wszędzie, tak i tu, mogą być i są wyjątki. Zdarzają się one zarówno wśród młodzieży jak i wśród starszych. Jedni odpadają przez małżeństwa mieszane, inni znów, nie mając wyższych potrzeb i zainteresowań, zadawalają się kinem, szklanką ciepłego piwa i spokojną posadką. Są oni „happy" i z reguły tłumią wszelkie, jak twierdzą, „niebezpieczne" objawy ducha narodowego. Są natomiast potulni, bojaźliwi i w każdej chwili gotowi do serwilistycznych ukłonów. Znamy aż nadto dobrze ów typ zastraszonego Polaka na emigracji. Jemu wystarcza misa dymiącej baraniny. Tacy baraniarze byli, są i będą.

Jest jednak, dzięki Bogu, i odwrotna, lepsza strona medalu. Nie brak nam bowiem wśród przedstawicieli społeczeństwa nowozelandzkiego szczerych bezinteresownych przyjaciół.

Ci, np., co w 1944 r. do Nowej Zelandii przybyli, pamiętają jeszcze czasy, gdy sędziwy arcybiskup Wellingtonu, O'Shea, przyjeżdżał odwiedzać obóz polski w Pahiauta i ze łzami w oczach do zebranych w kaplicy przemawiał. Wyczuwał on doskonale, rozumiał w całej pełni upokorzenia i cierpienia, przez jakie przeszli Polacy od chwili, gdy Ojczyznę opuścili i z nimi szczerze współbolał.

Gdy kiedyś kapelan polski prowadził rekolekcje zamknięte dla młodzieży w Auckland odwiedził rekolektantów biskup miejscowy, dr. Liston. Przybył on, jak ojciec do swych dzieci przybywa. W przemówieniu, w całym jego zachowaniu odbijały prostota i serdeczność. Ujął on wszystkich swą dobrocią i zawsze ujmuje serca Polaków, którzy się z nim stykają. Jest prawdziwie przyjacielem polskiej młodzieży i lubi z nią obcować.

Są też inni, duchowni i świeccy, co z sercem i tylko z sercem do Polaków podchodzą, z całkowitą bezinteresownością, bez wyrachowania na jakąkolwiek bądź korzyść a rzeszość.

I ci właśnie, co tak postępują, cementują prawdziwą przyjaźń i trwałe zbliżenie między Polakami a miejscową ludnością. Oni, choć o tym nie myślą i dlatego właśnie, że o tym nie myślą, — oni bardziej od innych przyczynić się mogą do bratniego z czasem zlania tutejszych Polaków z nowozelandzką ludnością.

Prezes Kombatantów w Nowej Zelandii, tak zwanego R.S.A., gen. Kippenberger, przemawiając kiedyś do byłych wojskowych polskich przypomniał im, że walczył w Italii u ich boku. Wyraził on swe szczere uznanie i głęboki podziw dla wartości bojowych żołnierza polskiego i zasług Polskich Sił Zbrojnych i zakończył mniej więcej w te słowa: „przybyliście do naszego kraju i jesteście przez nas mile widziani. Ktokolwiek z was zechce do wolnej Polski powrócić, będzie mógł zawsze to zrobić. Kto zechce pozostać z nami, przyjmiemy go z otwartymi rękoma." — Oto właściwe podejście, rzeczowe i szlachetne postawienie sprawy.

Przyszłość jest w ręku Boga. Jeśli Polska wkrótce wolność odzyska, znaczna jeszcze część spośród nas, ofiar Jałty, do Kraju powróci. Jeśli natomiast stan obecny potrwa jeszcze lat kilkanaście, to większość Polski już nie zobaczy. Część osiedli się na dobre tam, gdzie przebywa, zaś może garstka tylko zdobędzie się na powrót. Czas swoje zrobi i czas, niestety, nie na naszą korzyść pracuje. Jest to siła wyższa, z którą nie łatwo walczyć. Ale po co niewłaściwymi chwytami dążyć do przyśpieszania asymilacji? Takie metody odnoszą zwykle odwrotny skutek. Młodzież polska w Wellingtonie i cała Polonia, Polacy w Auckland również, wszyscy, z wyjątkiem oczywiście garstki zastraszonych... o których mowa była wyżej — wszyscy zostali przykro dotknięci, niektórzy nawet oburzeni powyższem artykułem.

Opiekunowie naszej młodzieży dużo zasług położyli w pracy nad nią, i to trzeba im przyznać. O ileż byłoby jednak lepiej, o ileż by praca ich owocniejszą była, gdyby pozbyli się raz na zawsze pędu do wynaradawiania. To bowiem psuje i nieufność wzbudza.

Pozostawmy sprawę normalnemu biegowi współpracujmy w atmosferze zaufania i przyjaźni.

Antoni Westfalski

JAN BIELATOWICZ

OFICYNA POETÓW I MALARZY

W pośrodku parku Mabledon w Kencie stoi drzewo tulipanowe. Na klombach, na murach, w żywopłotach pysznią się rododendrony, magnolie, azalie, hortensje — ogród wielmożów w krynolinach, żabotach, tiurniurach. Kwiaty te zaniedbane od lat, bliskie zagłady dziczały, lecz uratował je polski ogrodnik.

Kwiaty wielmożne nie są mu jednak najmilsze. Lubuje się on w grządkach warzywnych i w kwiatach pospolitych. Kto spostrzeże na ulicy w Tonbridge porzuconą dalię lub cyntię, może być pewien, że pochodzą one z parku w Mabledon. Kto na stacji Charing Cross w Londynie spotka osobę z naręczem peonij, nasturcyj i nagietek, niech nie wątpi, że to wraca gość z Mabledon. Mabledończycy jarzyn także nie potrzebują z Covent Garden. Gdyby Mabledon znajdował się pod Krakowem nikt by do ust nie brał bronowickiej sałaty ani lisieckiej rzodkwi.

Ogrodnik z Mabledon nazywa się Czesław Bednarczyk. Urodził się w r. 1912 w Kamieńcu Podolskim, wyrósł w Chełmie Lubelskim a sztuki ogrodnictwa wyuczył się w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. Jako inżynier ogrodnictwa poświęcił się pracy w dziedzinie architektury ogrodowej planowaniu miast i osiedli, letnisk i uzdrowisk, parków i ogrodów.

Przybycie do Mabledon zawdzięcza następującym okolicznościom: w roku 1939 wybuchła wojna polsko-niemiecka. Porucznik rezerwy Bednarczyk został powołany do wojska i odbył kampanię wrześniową, kończąc ją w grupie gen. Kleeberga. Krótką pracę w ruchu podziemnym na terenie powiatu łomżyńskiego przerwało aresztowanie i zesłanie do łagru Niandoma pod Archangielskiem. Kiedy powstała armia polska w Rosji a zesłańców zwolniono z więzień, Czesław Bednarczyk zgłosił się do armii. W kampanii włoskiej był dwukrotnie ranny, awansował i otrzymał krzyż „Virtuti Militari". W nagrodę za czyny bojowe mógł powrócić do swego zawodu, oczywiście na mniejszą skalę: wystarczającą jednak, aby uratować drzewo tulipanowe i azalie mabledońskie, mieszkańcom zaś parku, to jest polskim ozdrowieńcom, zaplanować klomby i rabaty, zasadzić marchew i nasturcje.

Między tymi kwiatami i grządkami z warzywem umieścił Czesław Bednarczyk swój skarb największy, który znalazł w czasie wędrówki wojennej w Iraku. Jest nim poezja.

Poezja szczególnego rodzaju — apostolska. Bednarczyk i jego współpracownicy (o których zaraz będzie mowa), to poeci praktykujący. Nie są to owe przysłowiowe jedwabniki, które przędą wokół siebie kokon, świata poza swoją sztuką nie widząc. To grono wierzące, iż poezja jest wszystkim ludziom koniecznie do życia potrzebna. Wierzące, że najbliższa droga od człowieka do człowieka wiedzie przez poezję, że poezję, jak miłość, należy głosić, że nie dość jest poezję znać, trzeba ją wyznawać, przekazywać drugim, prostować jej ścieżki.

Dla krzewienia swej wiary w poezję Czesław Bednarczyk powołał bractwo o nazwie „Oficyna Poetów i Malarzy" (malarstwo — mówi — to sztuka najbliższa poezji), a arkę poetyckiego przymierza złożył w drewnianym baraku parku Mabledon, niedaleko od drzewa tulipanowego.

Londyn nie służył arce poezji. Porywał ku zbyt światowym drogom, narzucał rytm, do którego poezja polska nie nawykła, wyczerpywał siły, dławił ogień. Być może, że w Londynie „Oficyna Poetów" zdziczałaby, jak drzewo tulipanowe w parku mabledońskim. Oplatały ją już ciasne bluszcze, pnąc się zuchwale ku koronie. Kolumny poetyckie „Oficyny" w czasopismach świadczyły wymownie, ile tam było zieleni i jak mało kwiatów.

I wtedy przyszedł do Oficyny Stanisław Gliwa, pociągając ją za sobą do Mabledon. Gliwie zawdzięcza Oficyna ustawienie arki poetyckiej na właściwej podstawie, czyli własną drukarnię. Czesław Bednarczyk miał wprawdzie od dawna maszynę drukarską na pedał, obejmującą 2 stronice małej ósemki, ale jako ogrodnik i poeta nie bardzo wiedział, co z nią począć. Gliwa zaś, rogata dusza z Lubeni pod Rzeszowem, borykał się od lat naprzekór złej doli z jakimś szczekającym liliputem drukarskim, kupionym zdaje się w składzie zabawek dziecinnych. Ulubieniec profesora Uziembły i towarzysz szczepu Szukalskiego, jeden z najzdolniejszych grafików polskich, tłoczył przez kilka lat bilety wizytowe i cenniki jadłodajń, sam nie bardzo mając za co do nich uczęszczać. W przerwach między biletami projektował okładki książek emigracyjnych i zdobił specjalne numery pism. Tytuł ŻYCIA pochodzi również spod jego ręki.

Otóż Stanisław Gliwa złożył w całość części pedału Czesława Bednarczyka, poczem razem zawieźli to dobrodziejstwo do Mabledon, gdzie po zajęciach służbowych (Gliwę zatrudniono tam jako instruktora drukarstwa terapicznego) zaczęli kręcić głową, mając jeszcze do towarzystwa w tym zajęciu panią Krystynę Bednarczykową. Z piasku bicza nie ukręcisz, ale z pedału może powstać drukarnia i dumne wydawnictwo.

Robi się to tak: najpierw trzeba mieć ludzką życzliwość. Tę znaleźli. Podobno w W. Brytanii nie wolno wydawać personalnych tajemnic służby państwowej (Mabledon podlega ministerstwu zdrowia), podobnie jak w wojsku. Zatem do słowa życzliwość nie można dopisywać żadnych szczegółów poza nazwiskiem: dr Jerzy Bram. Więc życzliwość i barak, czy raczej komórka. Potem pedał. Wreszcie zapas czcionek. Długie i wytrwałe starania doprowadziły do zakupienia skromnego zapasu czcionek Połtawskiego — o artystycznym kroju, stosowanym przed wojną w Polsce. W ten mniej więcej sposób dokonało się osadzenie Oficyny Poetów i Malarzy na ziemi, aby mogła rosnąć ku błękitom.

Jej materialne podstawy opierają się na udziałach 50 członków z różnych krajów (nazwiska te drukowane są w tomikach Oficyny) oraz na odbiorcach tomików. Oficyna wypuszcza zwykle około 250 egzemplarzy swych wydawnictw, sprzedając je w ciągu kilku tygodni. Wszystkie prace wykonuje wspomniana trójka ruszających głową i rękami, korzystająca czasem z przygodnej pomocy.

Oficyna Poetów i Malarzy jest to zatem umiłowanie sztuki skrystalizowane w formę materialną — wydawnictwa tomików wierszy wraz z reprodukcjami prac plastyków. Pierwsze dwa tomiki wydrukowały, zresztą bardzo starannie, normalne drukarnie (Drukarnia Polska M. Caplin i Gryf), tom trzeci wyszedł w świat z komórki mabledońskiej.

Jest to tomik przypominający dzieła średniowiecza. Złożyła się nań praca wielu artystów: poety Bronisława Przyłuskiego, grafika Aleksandra Wernera, składacza-grafika Stanisława Gliwy i wydawcy-poety Czesława Bednarczyka. Dla tej zbiorowej pracy artystycznej trudno było znaleźć piękniejsze miano ponad „Akord". Jak również piękniejszy tytuł dla zbioru ośmiu wierszy. „Akord" więc jest dziełem sztuki i zarazem rzemiosła artystycznego. Poetyckie dwubarwne linoryty tłoczone są z oryginalnych klocków, czcionki odbite jak pieczęcie sygnetów, ułożone i spacjowane jak w zegarku. Takie dzieła umieli tworzyć tylko sztuką ręczną kopiści i iluminatorzy średnich wieków.



Rys. Marian Kościałkowski

Nie można oczywiście zamykać oczu także na braki mabledońskiej oficyny. Taka chałupnicza robota pochłania mnóstwo czasu, starań, niezwykłego wysiłku i zapału. Jest to właściwie forma twórczości artystycznej. Jej granice nie mogą być zbyt szerokie. Artyści Oficyny głoszą wielkie zamiary, jednak sprzęt ich drukarni, nie mówiąc o trudnościach z papierem, zmusza ich do tłoczenia tomików małego formatu i skromniutkiej objętości oraz do niedużej wydajności w czasie. Jednak tomików Oficyny Poetów i Malarzy nie można ważyć ciężarem papieru ani mierzyć formatem stron. „Akord" jako materialne zjawisko jest najbardziej poetyckim tomikiem w języku polskim w ciągu ostatnich lat. Iść z nim w porównanie mogą tylko druki Oficyny Florenckiej Samuela Tyszkiewicza. „Akord", to flakon olejku różanego, buteleczka balsamu poetyckiego.

Najpierw słówko o planach, później o dokonaniach. Oficyna Poetów i Malarzy zamierza wydać w najbliższej przyszłości następujące tomiki: antologię współczesnej poezji szwedzkiej p.t. „Woda źródlana" w przekładzie Łukasza Winiarskiego z rysunkami artystów szwedzkich, wybór wierszy Fryderyka Garcia Lorki w tłumaczeniu z hiszpańskiego Jana Winczakiewicza, wiersze wybrane Józefa Łobodowskiego, poezje Wacława Iwaniuka z rysunkami Józefa Czapskiego, zbiorek Józefy Radzymińskiej p.t. „Dzika perła" z rysunkami Krystyny Herling Grudzińskiej, wiersze Cz. Bednarczyka „Droga trudna", essej Tymona Terleckiego p.t. „Paryż", ilustrowany przez Mariana Bohusza Szyszkę, tekę rysunków „Grupy 49", tekę linorytów Aleksandra Wernera, tekę rysunków Mariana Bohusza Szyszki, a później być może tom ineditów C.K. Norwida, bibliofilskie wydania tekstów Mickiewicza i Wyspiańskiego i t. d.

Do tej pory Oficyna Poetów i Malarzy wydała trzy tomiki: Jana Olechowskiego poezje z lat 1945 — 1950 p.t. „Chwila nocna", Mariana Czuchnowskiego wybór wierszy pisanych na obczyźnie p.t. „Pola minowe" oraz Bronisława Przyłuskiego osiem wierszy p.t. „Akord". Tom pierwszy zdobił Zygmunt Turkiewicz, drugi ilustrował surrealistycznymi rysunkami Marian Kościałkowski, do trzeciego włączono grafikę Aleksandra Wernera. Wszyscy trzej artyści zaprojektowali też okładki poszczególnych tomików.

Gust jest rzeczą subiektywną, więc dla autora tych słów najmilszym nie przestaje być tomik Olechowskiego. Najczulej także potrąca strunę zachwytu misterna jak włos Eunice linia rysunków Turkiewicza.

Ale artystycznie — w robocie poetyckiej Przyłuski jest niezrównany. To są szczyty współczesnej poezji polskiej i do tego styl wyraźny jak kryształ! Mowa z głębi geologicznych pokładów naszej ziemi, jak błyszczące w słońcu odkrywki jurajskie czy węgiel z odciskami liści paproci. Ale to wcale nie popisy wiedzy poety ani mozolne przepisywanie słownika, ale wplecione w wir twórczy słowa własne, przeżyte, doświadczone, tętniące krwią. Przyłuski ze wszystkich żyjących poetów polskich zna najlepiej język polski, barwę, wagę i kształt wyrazów:

Chłodem przez chude zboże,
mrozem przez puste zapole,
lodowatym wiadrem przez pożar
na swojską dolę-niedolę.

*

Łasicami myślę — zwierzęco,
rudozwinnie, przesmykami, ślisko;
sierścią chłodną chciałbym cię wysnuć
z kielichów obelisku.

— — — — — —

Zaćwierkam, zaszumię, zatańczę,
skrzydeł dostanę — ptak.
Jak płaszcz zrzucę swoje ciało wygnańcze
i po niebie popłynę na wznak.

Przyłuski jest zapatrzony i zasłuchany w ziemię ojczystą i rzeczy jej. Z wierszy jego można się prawie uczyć przyrody kraju rodzinnego. Wyszukiwanie wpływów Leśmiana w tej poezji jest niesłuszne. Przyłuski bowiem tylko tak jak Leśmian czuje. W Leśmianie odnalazł tonację swojego własnego poetyckiego zaśpiewu. Poszedł własną drogą nie przez wyrąbany przesiek, ale zanurzywszy się w gęstwinę, w bór.

Nie jest to oczywiście poezja intelektualna i Przyłuski źle robi, jeśli czasem na nią się porywa. Twórczość jego jest spontaniczna, niepowstrzymana jak wytrysk źródła i wówczas właśnie, tak bezpośrednio bijąca, posiada przeźroczystość powietrza na szczytach. Ujęta zaś w czareczki dociekań umysłowych jest tylko zwykłą wodą, nie źródlaną. Poezja Przyłuskiego to jest liryka ziemi. Gdyby się on zdobył na powieść poetycką o rodzinnej Uszwi lub o macierzyńskich Małoszowach piśmiennictwo polskie otrzymałoby przypuszczalnie arcydzieło.



CZESŁAW BEDNARCZYK



STANISŁAW GLIWA

A tamte dwa tomiki? Jan Olechowski jest poetą nastroju, zbieraczem przygód poetyckich. Poezja jego nie płynie z musu duchowego, lecz z kaprysu wrażliwej natury. Dowodem niepokojące od wielu lat milczenie tego wspaniałego ekonoma nastrojów i piewcy powszechnych tęsknot.

Marian Czuchnowski nie umie inaczej, jak tylko wszystko tłumaczyć na język poezji. Kiedy to przed laty zaczął, wzbudził słuszny zachwyt. Po tylu latach stało się to już jednak nużące. Niewiele wierszy z tomu „Pola minowe" wydaje się mieć źródło w prawdziwym przeżyciu poetyckim. Są to raczej werbalne popisy i fantazje na temat: jak by to wyglądało w poezji? N. p.:

Już rano. Trzeba odsunąć w oknach story.
By zacząć nowy dzień.
Jak ciężki cień, u góry
Zastyga deszcz. Znów jestem chory.

Rynny się krztuszą szarą pianą.
Chyba to w rynny czarne chmury
Ten smutny sączą deszcz tak rano.
I t. d.

Czuchnowski po prostu poezję wyrabia jak biegły mistrz i na jeden jego wiersz autentycznej piękności przypada dziesięć niepotrzebnych. Zawsze świeża jest tylko liryka erotyczna Czuchnowskiego.

Z parkiem Mabledon związane jest jeszcze jedno poetyckie nazwisko — ś. p. Anatola Krakowieckiego. To on tu próbował pierwszy w zakładowej drukarni wystukiwać tomiki poezji, które zresztą nigdy światła nie ujrzały. Pozostała pamięć serdecznego wysiłku.

Droga z Tonbridge ku Tunbridge Wells wygina się jak łuk ku niebu parkiem mabledońskim. Jakie właściwe miejsce na siedzibę poezji!

Jan Bielatowicz



RYSUNEK M. KOŚCIAŁKOWSKIEGO W TOMIKU M. CZUCHNOWSKIEGO „POLA MINOWE"

KSIĘGA ZBIOROWA PRAC
W STULECIE ZGONU J. SŁOWACKIEGO

W pierwszych dniach stycznia br. ukazało się wreszcie dawno zapowiadane dzieło pt. „Juliusz Słowacki. Księga zbiorowa w stulecie zgonu". 448 stron liczące wydawnictwo Polish Research Centre. „Myśl wydania za granicą Księgi Pamiątkowej w setną rocznicę śmierci Juliusza Słowackiego — czytamy w przedmowie wydawców — zrodziła się w roku 1947. Było zjawiskiem zrozumiałym, że obecna emigracja zapragnęła złożyć hołd jednemu z największych poetów polskich, związanych z Wielką Emigracją." W maju 1949 r. Komitet Redakcyjny miał już wszystkie prace, przeznaczone dla Księgi. Usiłowano wydać ją przed upływem setnej rocznicy zgonu Poety (niewiadomo dlaczego wydawcy rok ten określają jako „jubileuszowy"). „Niestety — czytamy dalej w przedmowie — trudności natury technicznej spowodowały oddanie Księgi do rąk czytelników dopiero w połowie roku 1951." Eufemizm ten wyprzedził ostatecznie faktyczne ukazanie się dzieła o dalsze pół roku.

Księga przedstawia się doskonale. Redakcja nie zaleca autorom żadnego określonego punktu widzenia, pozostawiając każdemu z nich pełną swobodę wyboru tematu i naświetlenia. Dzięki temu wydawnictwo stało się wyrazem wolności badawczej, zespalającym we wspólnym dziele uczonych różnych narodowości, czego zewnętrznym objawem są cztery języki, jakie składają się na treść książki.

Księga w stulecie zgonu Słowackiego będzie oczywiście przedmiotem szczegółowych omówień na łamach ŻYCIA. Obecnie podajemy tylko dla ogólnej orientacji Czytelników jej treść, na którą składają się następujące prace: Przedmowa; Nieznany portret Słowackiego; Irena Gałęzowska „List Słowackiego do Ludwika Norwida"; Denise Wrotnowska „A propos d'un portrait de Słowacki"; Claude Backvis „Słowacki et l'heritage baroque". Zygmunt L. Zaleski „Poeta wiecznego jutra"; Władysław Guenther „Polskość teatru Słowackiego"; Mieczysław Giergielewicz „Elementy prawa u Słowackiego"; Jerzy Pietrkiewicz „Metafora ruchowa w poezji Słowackiego"; Zygmunt Nowakowski „Słowacki a scena polska"; Maryla Falkówna „Indian elements in Słowacki's thought"; Władysław Folkierski „Wierny towarzysz myśli twórczej: Alfred de Vigny"; Zygmunt Markiewicz „Teatr J. Słowackiego w latach 1832 — 42 a wpływy francuskie"; Egisto de Andreis „Traduzioni e scritti su Słowacki"; Wacław Lednicki „Tematy rosyjskie w twórczości Słowackiego"; Giovanni Maver „Da Napoli a Zante: Osservazioni marginali sul ‚Viaggio in Oriente' di J. Słowacki"; Enrico Damiani „Słowacki in Bulgaria"; Zbigniew Folejewski „Słowacki w krajach skandynawskich"; Alfons Bronarski „Poemat Słowackiego ‚W Szwajcarii' i jego geneza"; Stanisław Stroński „Zamoyski i Zborowski"; Michał Pawlikowski „Król-Duch jako pomnik cywilizacji łacińskiej". Stanisław Kościałkowski „W poszukiwaniu Słowacjanów"; William J. Rose (przekład) „The Father of the plague-stricken in El-Arish"; Maria Danilewiczowa, Janina Pilatowa i Janina Zabielska „Bibliografia", Indeks.

Cena księgi 25 szylingów.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 27 stycznia 1952.

POGROBOWCY RACJONALIZMU

(Uwagi na marginesie artykułu M. Sambora „Bar pod zmierzchem")

„Jakże dziewiętnastowieczny jest ten pisarz współczesny" — takie zdanie wyrywa się z ust autora powyższego artykułu o Koestlerze (ŻYCIE nr. 235/6), artykułu, w którym autor wnikliwie śledzi za perypetiami poszukiwań religijnych Koestlera.

Niestety, mamy wielu pisarzy i naukowców, którzy duchem jeszcze tkwią w ubiegłym stuleciu. Duch racjonalizmu, wiara, że rozum ludzki jedynie jest zdolny zapewnić szczęście na ziemi, ciągle jeszcze tuła się w umysłach współczesnych. Odrzuca się religię nadprzyrodzoną i jej dogmaty, ponieważ nie można ich uzasadnić metodami ściśle naukowymi. Oto parę wypowiedzi — jakże charakterystycznych — B. Russela (cytuję je za Herlingiem-Grudzińskim z jego artykułu „Fałszywy Bóg" — „Wiadomości" nr. 28/29 1950 r.):

„...Przez religię rozumiemy zespół wierzeń o charakterze dogmatów, które kierują życiem ludzkim, wykraczając poza lub przeciwko oczywistym dowodom i posługują się metodami uczuciowymi lub autorytatywnymi a nie intelektualnymi."

„...Kto wierzy tak jak ja, że swobodny umysł jest głównym motorem postępu ludzkiego, musi ze względów zasadniczych przeciwstawić się zarówno bolszewizmowi jak i Kościołowi Katolickiemu."

Współczesna fizyka i oparta na jej wynikach filozofia przyrody przyjęły już jako pewnik nie tylko możliwość ale i konieczność istnienia środowisk o wyższych wymiarach niż znany nam i zmysłowo poznawalny świat materii. Wszystkie zjawiska mikrofizyczne (wewnętrzno-atomowe) przebiegają w innym środowisku niż znana nam czterowymiarowa czaso-przestrzeń (licząc czas jako czwarty wymiar); cały ten świat ponad-czterowymiarowy jest absolutnie nieosiągalny tak dla naszych zmysłów jak i naszej wyobraźni. A ponieważ wiedza nasza opiera się na poznaniu zmysłowym, przeto istnieje obszerna dziedzina rzeczywistości zupełnie niedostępnej tego rodzaju poznaniu.

(Zasada „nihil est in intellectu quod non fuerit ante in sensu" wydaje się nie do obalenia. Teoria Junga w tej jej części, która mówi o dominującej roli podświadomości w życiu psychicznym człowieka — na którą składają się przeżycia i doświadczenia minionych pokoleń — nie może zaprzeczyć, że ostatecznym źródłem naszej wiedzy jest jednak zmysłowe poznanie obojętnie czy zostało ono dokonane bezpośrednio przez osobnika, czy też przekazane mu przez przodków w kapitale podświadomości).

Religia mówi nam o rzeczywistości niepoznawalnej naszymi zmysłami, o Tym, który jest Stwórcą visibilium omnium et invisibilium. O tym, kim jest Bóg — istota niepoznawalna — może powiedzieć tylko Bóg („Bóg dobrze mówi o Bogu a nie człowiek" pisze Pascal). Wprawdzie istnienie Boga jak również niektóre Jego przymioty jak wszechmądrość i wszechmoc, narzucają się naszemu umysłowi jako logiczny wniosek z istnienia świata, lecz tego rodzaju rozumowe poznanie jest niedostateczne dla należytego zrozumienia stosunku Stwórcy do stworzenia i stworzenia do Stwórcy. Toteż każde wierzenie, zasługujące na nazwę religii, musi być objawione. Religia racjonalistyczna („religia rozumu") nie jest religią, jest tylko takim czy innym systematem filozoficznym. Treścią Objawienia są prawdy — dogmaty. Dogmaty więc stanowią istotną, konieczną treść Objawienia. One nam mówią kim jest Bóg i jaki ma być stosunek do Niego.

Wspomniany już B. Russell oświadcza, że w imię wolności rozumu ludzkiego, dla którego wszelkie dogmaty są krępującymi go więzami, musi się przeciwstawić zarówno bolszewizmowi jak i Kościołowi katolickiemu. Jest to wielkie nieporozumienie. Dogmaty katolickie dotyczą dziedziny niedostępnej dla poznania zmysłowego, sięgają tam, gdzie rozum nie sięga, a tym samym nie mogą krępować wolności rozumu ludzkiego w przyrodzonej mu dziedzinie.

Inaczej jest z komunizmem, który często określamy jako sui generis religię (w świetle poprzednich rozważań jest to określenie niewłaściwe). O zewnętrznym podobieństwie do religii katolickiej stanowi dogmatyczny charakter doktryny komunistycznej. Ale ten dogmatyzm dotyczy wyłącznie dziedzin przyrodzonych, a więc wkracza w domenę rozumu ludzkiego i jako taki rzeczywiście ogranicza swobodę badań ze szkodą dla nauki. Wystarczy przypomnieć panujący dogmatyzm w dziedzinach ściśle naukowych jak biologia, lingwistyka a nawet fizyka.

(Zarzut Russella antyintelektualizmu w religii nie może w żadnej mierze dotyczyć katolicyzmu; żadna religia nie może się poszczycić tyloma intelektualistami i to tej miary, co św. Tomasz z Akwinu i wielu innych. Rozumowi oświeconemu światłem wiary Kościół katolicki wyznaczył tak doniosłą rolę, że raczej właściwszy byłby zarzut zbytniego przeintelektualizowania religii — vide scholastyka).

Jeans w swym dziełku „The Mysterious Universe" daje bardzo dobrą ilustrację tego zagadnienia, która w rozwinięciu i w szczegółowszej interpretacji wygląda następująco:

Wyobraźmy sobie istnienie hipotetycznych istot rozumnych, których zmysły są przystosowane jedynie do odbioru wrażeń ze świata dwuwymiarowego czyli zjawisk zachodzących wyłącznie na płaszczyźnie. Wszelkie zjawiska, które odbywają się w trzecim wymiarze, są więc tym istotom całkowicie niedostępne — chociażby nawet ten trzeci wymiar otaczał je ze wszystkich stron. Przypuśćmy, że na ten ich płaski świat spadł deszcz a więc zjawisko mające swe źródło w trzecim wymiarze. Umysły owych dwuwymiarowców mogłyby wprawdzie zbadać przebieg i prawa tego zjawiska — ale najmędrszy nawet z nich nie byłby w stanie wyjaśnić istoty samego fenomenu. I dopiero osoba trójwymiarowa mogłaby im wyjaśnić istotę zjawiska — oczywiście w sposób bardzo ogólny. Wyjaśnienie to miałoby niewątpliwie charakter apodyktyczny.

Czy słuszny byłby zarzut ze strony dwuwymiarowców, że to apodyktyczne, dogmatyczne wyjaśnienie narusza swobodę ich badania naukowego? Czy bunt przeciwko dogmatowi rzekomo w imię wolności rozumu nie miałby w tym wypadku cech dziecinnych dąsów? I czy — raczej — to apodyktyczne wyjaśnienie nie ułatwiłoby badania naukowego, rzucając snop światła z góry?

Czas już porzucić ten spleśniały światek widziany przez wąskie parterowe okienko racjonalizmu i ograniczony do apercepcji zjawisk materialnych. Istnieją wyższe piętra o rozleglejszych horyzontach, ku którym powoli i z trudem przebijają się współczesne nauki fizykalne.

Religia i nauka mają odrębne dziedziny; jednak wiedza ludzka w szczytowych swych nadbudówkach musi się zazębiać z religią. Nieraz powstają sprzeczności między nimi, kończące się z reguły przegraną nauki.

Prawdziwa religia objawiona może służyć jako nieomylny sprawdzian słuszności tych wniosków, które zazębiają się z religią. Nauki przyrodnicze uniknęłyby wówczas wielu potknięć i błądzeń po manowcach, zaś teorie filozoficzno-społeczno-ekonomiczne mogłyby zaoszczędzić ludzkości niejednego wstrząsu.

Feliks Bohdanowicz

POLSKIE ŻYCIE KULTURALNE

HABILITACJA POLSKIEGO UCZONEGO

Dr Zygmunt ESTREICHER, asystent muzykologii na uniwersytecie w Neuchatel, uzyskał habilitację i został mianowany przez rząd kantonalny docentem tegoż uniwersytetu.

Dr Estreicher pochodzi ze znanej krakowskiej rodziny uczonych. Jest potomkiem Dominika Franciszka à Paulo Oesterreicher, malarza nadwornego króla Stanisława Augusta (1750—1809) i prof. Uniw. Jagiellońskiego, od którego rozpoczyna się nieprzerwany ciąg wybitnych uczonych z tej rodziny z Karolem Bogumiłem Estreicherem (1827—1908), autorem monumentalnej „Bibliografii Polskiej" na czele. Bibliografia ta była kontynuowana przez jego syna Stanisława, rektora U. J., zamordowanego przez Niemców w obozie Sachsenhausen-Oranienburg w 1940 r. i następnie prowadzona dalej przez syna Stanisława Karola. Dotąd wyszło 37 jej tomów.

Nowomianowany docent uniw. neuchatelskiego jest wnukiem Karola Bogumiła i synem Tadeusza, b. prof. uniw. fryburskiego w Szwajcarii, a obecnie prof. Uniw. Jagiellońskiego.

Dr Zygmunt Estreicher, były żołnierz 1 Dyw. Gren. Pol., po odbyciu kampanii francuskiej był internowany we Fryburgu, który był miejscem jego urodzenia (1917). We Fryburgu też kontynuował rozpoczęte na U. J. studia z zakresu muzykologii i w roku 1946 uzyskał doktorat z muzykologii po przedłożeniu rozprawy: „O pieśniach tanecznych Eskimosów Karibu".

Od roku 1948 dr Estreicher pełnił obowiązki kierownika działu etnologii muzycznej w Muzeum Etnograficznym w Neuchatel. Poza tym dr Z. Estreicher ogłosił szereg cennych przyczynków naukowych (abe)

KSIĄŻKI I CZASOPISMA

GŁOS ZZA GROBU POETY CZESKIEGO. Jednym z czołowych poetów, którymi szczycił się obecny reżym komunistyczny w Pradze, był zmarły niedawno Frantisek Halas. Był on posłem do pierwszego po wojnie Zgromadzenia Narodowego Czechosłowacji, później prezesem Syndykatu Pisarzy czeskich. Do ostatnich miesięcy życia zajmował jedno z czołowych stanowisk w Ministerstwie Informacji rządu praskiego.

Komuniści uważali go całkowicie za swojego, toteż zgotowano mu wspaniały pogrzeb, a depesze kondolencyjne nadesłali m. in. Aleksander Fadiejew, sekretarz generalny Związku Pisarzy Sowieckich, oraz Ilija Erenburg.

Tymczasem jednak profesor uniwersytetu bolońskiego Angelo Mario Ripellino wszedł jakimś sposobem w posiadanie sensacyjnego dokumentu, który z jego upoważnienia ogłosił tygodnik paryski „Figaro Littéraire". Są to zwierzenia, jakie Halas, który z powodu ciężkiej choroby serca nie zdolny już był pisać sam, poczynił na krótko przed śmiercią do swych najbliższych przyjaciół z prośbą, by je spisali.

W zwierzeniach tych, opublikowanych obecnie w „Figaro Littéraire", Halas potępia najostrzej dyktaturę komunistyczną, która nakłada kaganiec na wszelką twórczość kulturalną i dławi ją. Świat, w jakim przychodzi żyć intelektualistom po drugiej stronie żelaznej kurtyny, jest, zdaniem jego „światem nieludzkim i potwornym".

Zwierzenia Halasa, który deklaruje się w nich jako socjalista, mają jednak charakter czysto negatywny. Nie wypowiada w nich żadnych, teorytycznych choćby, wniosków — ogranicza się do opisywania warunków, w jakich znaleźli się pisarze i intelektualiści w Czechosłowacji, oraz metod, stosowanych przez reżymy kierowane przez Moskwę.

NAGRODA UNII ŁACIŃSKIEJ. Pisarz francuski Roger Barthe otrzymał literackie „grand prix" niedawno powstałej Unii Łacińskiej, której celem, jak to pisaliśmy, jest szerzenie idei bloku narodów łacińskich, przede wszystkim w dziedzinie kulturalnej. Barthe napisał ostatnio książkę pt. „L'Idée latine", której pierwsza część ukazała się w październiku 1950 r., druga zaś obecnie. Wydawcą jest „Istytut d'études occitanes" w Tuluzie.

SZWEDZKA „AKADEMIA DZIEWIĘCIU". Tak zwana „Akademia Dziewięciu" (De Nio) spełnia w Szwecji tę samą rolę, jaką we Francji spełnia Akademia Goncourtów. Powstała ona w r. 1913 i dzięki otrzymanej z różnych stron pomocy finansowej zdolna jest nie tylko udzielać corocznie różnych nagród literackich, ale nadto wydaje doskonały periodyk, poświęcony literaturze szwedzkiej.

W skład Akademii wchodzi kilka kobiet, z których najwybitniejszą jest baronowa Marika Stiernstedt, prawnuczka słynnej pani Hańskiej, którą pod koniec swego życia poślubił Balzac. P. Stiernstedt ogłosiła w Paryżu kilka swych powieści, które sama przełożyła z języka szwedzkiego na francuski. Pełni ona funkcje sekretarki generalnej Akademii Dziewięciu.

Ostatnio Akademia przyznała medal złoty pisarzowi francuskiemu Lucien Maury.

PLASTYKA

Ukazanie się „Akordu", tomiku pięknych wierszy Bronisława Przyłuskiego, wydanego przez Oficynę Poetów i Malarzy, dzięki zupełnie wyjątkowemu poziomowi oprawy graficznej, wytworności druku i świetnych linorytów Aleksandra Wernera — należy zaliczyć do wybitnych zdarzeń artystyczno-plastycznych polskiego Londynu.

Imponuje energia p r a k t y c z n a tych zapaleńców z Oficyny (czytać: Czesław Bednarczyk z żoną i Stanisław Gliwa), którzy potrafili nabyć okazyjnie za grosze składkowe autentyczną drukarnię i to cacko — „Akord" — własnymi rękami, we własnym warsztacie, kryjącym się w parku mabledońskiego szpitala (koło Tonbridge, Kent) — wyprodukowali. Jest to już trzecie wydawnictwo Oficyny. Na pierwszy tom złożyły się „Chwila nocna" — wiersze Olechowskiego oraz rysunki Turkiewicza, na drugi: „Pola minowe" Mariana Czuchnowskiego z rysunkami Mariana Kościałkowskiego.

Trzymam w tej chwili „Akord" w ręce i nie wiem, czy się więcej dziwię, czy raduję. Czy możliwe, aby to wytworne cacko drukarskie i graficzne, kryjące kwiaty prawdziwej poezji, mogło ulenić się z gleby zmierzwionej beztreścią emigracyjnych kłótni, płaskim utylitaryzmem i nadziejami z psich wyścigów?

Oficyna zapowiada szereg nowych wydawnictw w najbliższej przyszłości: Józefy Radzymińskiej „Dziką perłę" z linorytami Krystyny Herling-Grudzińskiej, Tymona Terleckiego „Paryż" z rysunkami Mariana Bohusza-Szyszki, zbiorek Wacława Iwaniuka z rysunkami Józefa Czapskiego, Wiersze wybrane F. G. Lorci w przekładzie Jana Winczakiewicza, antologię liryki szwedzkiej w przekładzie B. Winiarskiego z rysunkami artystów szwedzkich, tekę rysunków „Grupy 49", tekę linorytów Aleksandra Wernera, tekę rysunków Mariana Bohusza-Szyszki.

*

8 stycznia w „Ognisku Polskim" odbył się pokaz cyklu akwarel poleskich Kazimierza Pacewicza. Artysta zademonstrował sto kilkadziesiąt prac obrazujących w pięknej formie malarskiej jego „Kraj lat dziecinnych".

*

Na Bond Street zanotujemy w Malborough Gallery wystawę brązów Degasa. Znakomity ten malarz, podobnie jak współczesny mu Renoir a dzisiaj Matisse, był ciekawym rzeźbiarzem.

MARIAN BOHUSZ-SZYSZKO

ZAPISKI LONDYŃSKIE

BRYTYJSKIE WYDARZENIA KULTURALNE OSTATNIEGO OKRESU

NAJLEPSZE FILMY 1951 R.

Zdaniem większości krytyków filmowych rok 1951 nie zaznaczył się niczym szczególnym w zakresie sztuki filmowej, mimo postępów technicznych, których wyrazem były filmy „stereoskopiczne" i „stereofoniczne", demonstrowane w „Telekinema", na terenie Festiwalu Brytyjskiego.

Film dokumentacyjny francuski „La vie commence demain" uważany jest powszechnie za jedno ze szczytowych osiągnięć produkcji filmowej na kontynencie europejskim w ciągu ostatnich dwóch lat. Zdaniem recenzentki filmowej „Sunday Times", Dilys Powell, żaden z obrazów zeszłorocznej produkcji zagranicznej nie osiągnął tego poziomu, co „On the Town" lub „Orphé" Cocteau, obrazy, które pojawiły się na ekranie w r. 1950. Do poziomu tego zbliżał się jedynie film produkcji Sioberga „Miss Julie", osnuty na utworze Strindberga. Doskonałe były też dwa obrazy francuskie: komedia „Edouard et Caroline" Jacques Beckera, oraz „La Ronde" Schnitzlera w interpretacji Maxa Ophülsa. Z filmów włoskich na wyróżnienie zasłużył obraz „Niedziela w sierpniu" Lucia no Emmera, a z filmów szwajcarskich „Czterech ludzi w jeepie" Leopolda Lindtberga.

Najlepszymi filmami amerykańskimi które wyświetlono w ub.r. w Wielkiej Brytanii, były, zdaniem p. Powell, trzy melodramaty: „Ace in the Hole", „Storm Warning" oraz „Fourteen Hours". Dobre były także dwa filmy wojenne: „The Red Badge of Courage" Johna Hustona oraz „A Walk in the Sun" Lewis Milestone'a. Nienadzwyczajnie za to wypadła wersja filmowa „Tragedii amerykańskiej" Dreisera, w reżyserii George Stevensa. Dobry natomiast był „Cyrano de Bergerac" z Jose Ferrerem.

Z filmów brytyjskich na czoło wybiły się: „No Resting Place" Paula Rotha'y, „White Corridors" Pata Jacksona oraz „The Man in the White Suit" Alexandra Mackendricka.

Rok ubiegły dał dwa wybitne filmy operowe „Opowieści Hoffmana" w luksusowej inscenizacji Powella i Pressburgera, oraz „Kopciuszka" Rossiniego, pełen wdzięku film muzyczny produkcji włoskiej.

„QUO VADIS" I „WYRZUTEK Z WYSP" NA EKRANIE

W ciągu stycznia na ekran w Londynie weszły dwa filmy, stanowiące pewnego rodzaju „polonica", oparte są bowiem one na powieściach, których autorami są Polacy.

Pierwszym z nich jest „Outcast of the Islands" („Wyrzutek z wysp"), którego scenariusz osnuty jest na powieści Józefa Conrada Korzeniowskiego, pod tym samym tytułem, drugiej z kolei powieści, jaką Conrad napisał po „Szaleństwie Almayera". Producentem jest Carol Reed, a główną rolę kobiecą gra 22-letnia Arabka Kerima, nowo odkryta „gwiazda". Jak donosiliśmy, wyświetlanie tego filmu zostało odłożone z powodu zakwestionowania przez cenzorów niektórych scen miłosnych. Ostatecznie „Wyrzutka z wysp" rozpoczął wyświetlać kinoteatr „Plaza" (niedaleko Piccadilly Circus) w d. 18 stycznia.

W tydzień później, 25 stycznia kinoteatr „Ritz" zaczął wyświetlać nową wersję filmową Sienkiewiczowskiego „Quo Vadis" amerykańskiej wytwórni filmowej Metro-Goldwyn-Mayer. Pierwsza, bardzo krótka wersja filmowa tej powieści wykonana została już blisko pół wieku temu bo w r. 1902, przez francuską wytwórnię filmową „Pathe". W dziesięć lat potem, w r. 1912, przyszła długa wersja filmowa „Quo Vadis" w wykonaniu włoskiej wytwórni „Cines". Wersję następną wykonali również Włosi (w r. 1925).

Film obecny jest dźwiękowy i kolorowy; wykonanie jego kosztowało sześć i pół miliona dolarów. Rolę Winicjusza gra Robert Taylor, Ligii — Deborah Kerr, Petroniusza — Leo Genn. W filmie bierze udział ok. 30.000 statystów.

Sienkiewiczowskie „Quo Vadis", którego pierwsze wydanie ukazało się w r. 1895, pobiło niewątpliwie wszelkie rekordy zarówno jeśli chodzi o film, jak i o nowe wydania książkowe, ukazujące się do tej pory we wszystkich niemal językach.

NOWA SZTUKA MORGANA

Znany powieściopisarz angielski Morgan, cieszący się we Francji jeszcze większą popularnością niż w swym kraju, napisał drugą z kolei — po „The Flashing Stream" — sztukę teatralną pt. „River Line". Jest to tytuł ten sam, co jednej z powieści Morgana, osnutej na tle ucieczki jeńców z Francji w czasie ubiegłej wojny, — niemniej nie jest to adaptacja, ale zupełnie nowa rzecz na ten sam temat.

Sztuka wystawiona będzie w Londynie pod reżyserią Stephena Mitchella.

O NOWE TALENTY TWÓRCZE

W „Observerze" znany pisarz Stephen Spender rekapituluje brytyjskie osiągnięcia w zakresie sztuk pięknych w r. 1951. Zdaniem jego charakter brytyjski ulega pod pewnymi względami zmianom. Stał się on bardziej przystępny dla wpływów zagranicznych i dla zainteresowań intelektualnych. „Za dwadzieścia lat — pisze Spender — przeciętny młody Anglik będzie, być może, omal tak samo zainteresowany w sztukach pięknych, jak jest dziś zainteresowany w sporcie i w technice swego zajęcia".

Przemiany te znajdują wyraz w coraz liczniejszych tłumach, jakie uczęszczają na koncerty, przedstawienia i wystawy. Niestety ów rozwój wyobraźni ma, jak dotąd, charakter jednostronny, bo tylko odbiorczy. Sztuka Eliota „The Cocktail Party" oraz fakt, że libretto do nowej opery Brittena „Billy Budd" napisał E. M. Forster uprzytamniają nam — pisze Spender — do jakiego stopnia wciąż żyjemy z kapitału pokolenia znacznie od nas starszego.

Koncepcja „Cocktail Party", choć fascynująca, jest — zdaniem Spendera — mniej poetycka, niż np. koncepcja Tennessee Williamsa w jego „Summer and Smoke", a tym bardziej niż koncepcja „Orphée" czy „La Machine infernale" Cocteau. Jeśli zaś chodzi o operę Brittena „Billy Budd", to mimo swego dobrego poziomu nie dorównywa ona nowej operze starego Strawińskiego „The Rake's Progress", wystawionej również w roku ubiegłym, która jest dziełem o głębszej oryginalności i znacznie większej pomysłowości.

Nie należy jednak — konkluduje Spender — tracić nadziei, że i w Wielkiej Brytanii pojawią się nowi wybitni twórcy w dziedzinie sztuk pięknych. Dorasta liczna rzesza widzów i słuchaczy, która ma niewiele wspólnego z publicznością pół-inteligencką, wytwarzaną przez szkoły elementarne i prasę popularną, gdyż ta nowa warstwa kontynuuje swe wychowanie już po dojściu do dojrzałości i kształci się przez słuchanie audycji radiowych oraz uczęszczanie do teatrów i sal koncertowych.

PRACA ZAROBKOWA STUDENTÓW

W chwili obecnej 80% studentów i studentek brytyjskich korzysta ze stypendiów. W czasie wakacyj dorabiają sobie oni przez pracę różnego rodzaju. Obliczenia, przeprowadzone świeżo w Oksfordzie, wykazały, że 66% wszystkich studentów angażuje się w okresach wolnych od pracy na uniwersytecie do takiego czy innego „holiday job". Roku ubiegłego „National Union of Students" postarała się o takie prace dla przeszło 10.000 studentów; wielu innych samemu znalazło sobie zajęcie.

Wśród zajęć tych studenci nie unikają nawet prac ziemnych i budowlanych. Szczególnie popularna jest jednak praca w urzędach pocztowych. Mężczyźni zarabiają w nich 2 sh. 8½d za godzinę pracy, kobiety 2 sh. 3d. W grę wchodzi tu sortowanie listów, doręczanie ich itd. Tysiące studentów zaangażowało się do pracy na pocztach w ostatnim okresie świątecznym kiedy jak zwykle urzędy te przeciążone były nawałem paczek i kartek z życzeniami świątecznymi.

Wielu studentów pracuje także na kolejach w charakterze portierów i pomocników przy bufetach kolejowych.

PRZEMIANY W ZWYCZAJACH POGRZEBOWYCH

Z ogłoszonej świeżo brytyjskiej statystyki urodzeń i zgonów za r. 1951, wynika że w porównaniu z poprzednimi latami powojennymi ilość urodzeń w roku tym poważnie spadła. Spadła także, choć nie w tym stopniu, ilość zgonów.

Ze statystyki wynika, iż około 40 procent (dokładnie 39.6 procent) ciał zmarłych osób uległo spaleniu w krematoriach. Jest to odsetek niemal ten sam, co w roku poprzednim, ale oczywiście o wiele wyższy niż np. w okresie wiktoriańskim, kiedy jeszcze zwłoki zmarłych z reguły chowano w grobach. Oczywiście katolicy stosują się pod tym względem do nakazów swego Kościoła zakazujących kremacji.

Wśród protestantów brytyjskich ustal również prawie zupełnie zwyczaj noszenia żałoby po zmarłych. Stąd w życzeniach, wyrażanych z okazji czyjegoś zgonu, by nie wysyłać listów kondolencyjnych ani nie nosić żałoby, to drugie życzenie coraz częściej jest w ogóle pomijane, jest ono bowiem bezprzedmiotowe.

WYSTAWA „RISORGIMENTA"

W Instytucie Włoskim (39 Belgrave Square, S.W.1.) odbywa się obecnie wystawa, poświęcona stosunkom włosko-brytyjskim w okresie „Risorgimento", tj. w latach 1915—1848 (Foscolo, Byron, Mazzini, Carlyle, Garibaldi, Palmerston itd.). Wystawione są obrazy, rysunki, dokumenty, druki itd. Wystawa otwarta jest do 7 lutego r.b. codziennie od godz. 11—6, w soboty od 11—4, w niedziele do 2—4. Wstęp 1/6.

Z KRAJU

Odbudowa kościoła św. Aleksandra w Warszawie. Kościół św. Aleksandra w Warszawie przebudowany był przed wojną przez architekta Dziekońskiego i posiadał wówczas przed wejściem symboliczne dwie wieże, a dach uwieńczony był wysoką kopułą. Obecnie odbudowuje się kościół św. Aleksandra według pierwotnych planów Aignera. Będzie to rotunda z kolumnowym portykiem i kolumnową obudową zakrystii.

Album kościołów warszawskich dla Papieża. Prymas Polski, arcybiskup Stefan Wyszyński, przesłał Ojcu św. „Album kościołów warszawskich", które po strasznym zniszczeniu wojennym są już odbudowane. W piśmie dołączonym do Albumu Prymas Polski pisze m. i. odbudowa przeszło 50 świątyń Warszawy budowanych ongiś przez długie wieki. Jest to fakt bez precedensu w historii narodów." Ojciec św. przejrzał Album z wielkim zainteresowaniem i wzruszeniem, a na ręce polskiego Prymasa wysłał swe apostolskie błogosławieństwo „dla tego dzieła odbudowy, które tyle chwały przynosi wspaniałemu i szlachetnemu narodowi polskiemu".

Kursy dla duchowieństwa w Polsce. Z rozporządzenia Prymasa Polski odbyły się w Polsce w miesiącach letnich i jesiennych specjalne kursy dla duchowieństwa świeckiego i zakonnego, szczególnie z zakresu nauczania religii w kościele i szkole oraz z zakresu psychologii i zagadnień społecznych. Pierwszy kurs odbył się w Krakowie i miał za przedmiot współczesne prądy w pedagogii i metody nauczania religii. Drugi jednotygodniowy kurs przeprowadzono w Lublinie na Katolickim Uniwersytecie o sakramencie pokuty i życiu Kościoła w obecnych czasach ateistycznych ataków na religię. Na obydwa kursy przybyło duchowieństwo bardzo licznie z całej Polski.

10-lecie śmierci Boya Żeleńskiego, którego zamordowali Niemcy we Lwowie, Penclub Polski i Związek Literatów Polskich uczciły zebraniami, na których przemawiali m. in. Arnold Szyfman, Jan Kott, Irena Krzywicka i Antoni Słonimski.

Narada poświęcona ideologicznym i artystycznym problemom plakatu polskiego odbyła się w warszawskiej „Zachęcie", zorganizowana przez ministerstwo kultury i sztuki i Związek Polskich Artystów Plastyków. W naradzie czynny udział wziął komunistyczny tytan pracy ideologicznej, wicemin. Sokorski. Wysunięto postulat realizmu socjalistycznego w plakacie w oparciu o współczesne wzory radzieckie, chińskie i czeskie.

W Teatrze Rapsodycznym w Krakowie odbyło się od dawna zapowiadane pierwsze przedstawienie w nowym budynku teatru, pt. „Aktorzy w Elzynorze". Ten utwór sceniczny jest montażem fragmentów „Hamleta", „Henryka IV", „Wesołych kumoszek z Windsoru", „Romea i Julii" oraz „Makbeta". Autorem nowego przekładu poetyckiego Szekspira jest L. H. Morstin. Widowisko wyreżyserował M. Kotlarczyk odtwarzając również rolę Hamleta. Dekoracje wykonał T. Ostaszewski.

W Starym Teatrze w Krakowie wystawiono „Oberżystkę" Goldoniego w reżyserii Ireny Babel, w nowym przekładzie Z. Jachimeckiej, z ilustracją muzyczną opartą na włoskich motywach ludowych z 18 wieku. Dekoracje i kostiumy Andrzeja Stopki.

Artur Chojecki, uczony i dyplomata, zmarł w dn. 21 lispada ub. r. w Domu Helclów w Krakowie, przeżywszy lat 71. Nieliczne grono przyjaciół odprowadziło go na cmentarz na Salwatorze. Oprócz poezji śp. Chojecki pisał również prace naukowe z zakresu psychologii (w 1910 r. swą pracę doktorską na U. J. napisał na temat „Zarys psychologii uwagi") oraz dokonał licznych przekładów z literatur obcych, m. in. przełożył „Św. Franciszka z Asyżu" i „Św. Tomasza z Akwinu" Chestertona. Lingwista i psycholog z wykształcenia, zmarły był wykładowcą na Uniwersytecie Warszawskim oraz na KUL-u a po wojnie był współpracownikiem „Tygodnika Powszechnego".

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: Veritas Foundation Centre. Adres redakcji i administracji: Polish Weekly. ŻYCIE, 12, Praed Mews, London W.2. Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17; z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja żadnych rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. PRENUMERATA płatna jest z góry i wynosi miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi [illegible] (//), wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ 1 cal przez 1 łam — £1; w tekście 50 proc. drożej, na stronie tytułowej 100 proc. drożej. Prenumerata zagraniczna: ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półroczn. 52 pesos. Przedstawicielstwo „Libreria Polaca", Av Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. BELGIA: miesięcznie 30 frs., kwartalnie 80 frs. Przedstawiciel: E. Kułakowska, 101, Augusta Lambiotte, Bruxelles-Schaerbeck — FRANCJA: mies. 180 frs. kwartalnie 54 frs. Przedstawicielstwo „Libella" Librairie 12, rue St. Louis en l'Ile, Paris IV-ème. — NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM., kwartalnie 7.00 DM. Przedstawicielstwo małe „Informacja Prasowa", (23) Quakenbrück, S hinbhorst 2. i Księgarnia „Wiedza" Schwandorf/Bayern, Bahnhofstrasse 19. — SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: P.K.S.U. Veritas. Section Suise, Case Postale 19. Fribourg 2. — SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwart. 10.00 kr. Przedstawiciel B. Kurowski, Anggatan 6c. Lund. Sverige. Sweden. — U.S.A.: — kwartalnie pocztą zwykłą 2 $., pocztą lotniczą 5 $. Przedstawiciele: 1) Antoni Stojanowski, 10, East 18th Street, Bayonne, N.J. 2) Gryf Publication, 808, Wager St. Utica 3) E. Bagiński, 3690 Helen Avenue, Detroit 7 Michigan 4) St. Palczewski, 1079 N. Marshfield, Chicago 33, Illinois.

Printed by: Veritas Foundation Press. 12, Praed Mews, London W.2. Tel: PAD 9734